

PANI





ULEGAJĄC ŻYCZENIOM LICZNYCH KOŁ CZYTELNIKÓW, PISMO NASZE Z DN. 1 KWIETNIA R. B. PRZEKSZTAŁCIŁO SIĘ NA DWUTYGODNIK. CENA PRENUMERATY POZOSTAJE PRAWIE BEZ ZMIANY, MIMO ŻE CZYTELNICY ZAMIAST 3 ZESZYTÓW KWARTALNIE BĘDĄ OTRZYMYWALI 6. W TYCH NOWYCH RAMACH WYDAWNICZYCH REDAKCJA „PANI” BĘDZIE SIĘ STARAŁA O ROZSZERZENIE SZEREGU DZIAŁÓW PISMA I O PODNIESIENIE JEGO AKTUALNOŚCI. NIE WĄTPIMY, ŻE WSZYSCY CZYTELNICY PRZYJMĄ DWUTYGODNIK „PANI” RÓWNIE ŻYCZLIWIE JAK PRZYJMOWALI DOTĄD MIESIĘCZNIK.

TREŚĆ NUMERU

ŚWIĘTO POJEDNANIA	<i>Kornel Makuszyński</i>
BALLADA O IZOLDZIE	<i>Juljusz Wirski</i>
PANI A WIOSNA	<i>Stefan Nowiński</i>
MAGJA DROGICH KAMIENI (dok.)	<i>Witold Bunikiewicz</i>
MATINATA (nuty)	<i>L. Marczewski</i>
BOLESŁAW SZĄNKOWSKI	<i>T. Bor.</i>
KOBIETA ŚWIATA	<i>Eugenjusz Land</i>
ECHA NICEJSKIE II.	<i>Cezary Jellenta</i>
HUSARSKI I WĄSOWICZ	<i>W. Husarski i W. Wąsowicz</i>
SEZONOWE METAMORFOZY	<i>Nina</i>
WIOSNA 1925	<i>J. Zar.</i>
TEATR A MODA	<i>Nina</i>
NARCYZ.	<i>Henryk Łubieński</i>
NOTATNIK „PANI”	

OKŁADKA: *Bruneleschi*

NUMER ZDOBILI: *Tadeusz Gronowski, Kamil Mackiewicz i Jerzy Zaruba*

REDAKTOR NACZELNY: *Marjan Dąbrowski.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Gustaw Zmigryder.*

WARUNKI PRENUMERATY:

Miesięcznie	„ 5.50	Egzemplarz	
Kwartalnie	Zł. 15.—	pojedynczy w Warszawie.	Zł. 3.—
Półrocznie	„ 30.—	Na prowincji (z przesyłką) . . .	„ 3.50
Rocznie	„ 60.—	Zagranicą	„ 4.00

Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach oraz w księgarniach kolejowych „Ruch”.
Ogłoszenia przyjmuje administracja i wszelkie biura ogłoszeń.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Nowogrodzka 26 m. 5, II p. tel. 234-65, 70-21. Konto P. K. O. 82-92,

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Pani” (sp. z ogr. odp.)

Klisze wykonano w zakładach fotochemigraficznych „Helios”.

H. ZAREMBA

NOWY-ŚWIAT 37

TELEFON 508-22

Ma zaszczyt zawiadomić Sz. Panie, że po powrocie z Paryża,
Nicei i Monte-Carlo, posiada ostatnie modele pierwszorzędných
domów paryskich, jak Lewis, Louise Marsy i t. p., oraz kreacje
własne w dużym wyborze

CENY PRZYSTĘPNE

Coriŕse

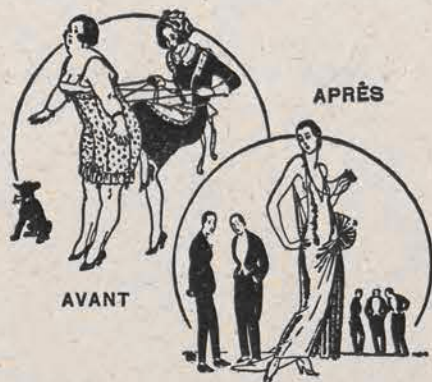
LE PARFUMEUR
A LA MODE

Paris.



*True Jardin.
Paris.*

SCHUDNAĆ CZYLI ODMŁODNIEĆ



Les **SELS CLARKS** pour Bains
se trouvent partout.

Kilka adresów w Warszawie:

Perfumerje: Ewaryst, Galarda, Hotel Bristol, Kalotechnika, Mazurkiewicz, Paszkowski, Perfection, Perkos, Violette, Władysław i Konstanty.

Składy apteczne: Anc, Polonia — Niecała, Staniszewski, Szamotulski.

Apteka: Treutler.

Wyłączny przedstawiciel na Polskę
Dom Handlowy „PARIS—VARSOVIE”
ul. Foksal 14. Tel. 16-07.



Zatwierdzony przez Urząd Zdrowia

GABINET MASAŻU

KOSMETYCZNEGO i LECZNICZEGO

MARJI KRECZMEROWEJ

(Długoletnia praktyka w Paryżu i Kijowie. Dyplomy „Ecole Supérieure de message” i „Academie Scientifique de Beauté”).

Warszawa, Górnośląska 20, mieszkania 7

NAJNOWSZE METODY
PIELĘGNOWANIA TWARZY I WŁOSÓW

Zapisy od godziny 1-ej do 5-ej

Telefon 192-67

INSTYTUT RENTGENA I FIZJOTERAPII

(SP. Z OGR. ODP. W ZAKOPANEM)

WILLE: „WARSZAWIANKA” — „MAZOWSZE”

DZIAŁY:

RENTGENOWSKI: prześwietlania, zdjęcia, naświetlania Rentgenowskie, powierzchowne i głębokie (lampy Coolidge'a).

FOTOTERAPIA: lampy kwarcowe i fioletowe.

MASAŻ: ręczny i wibracyjny.

ANALIZY CHEMICZNE i mikroskopowe.

WANNY elektryczne suchego powietrza.

U W A G A: W pierwszych dniach lutego została uruchomiona DIATERMIA w zakresie wszystkich specjalności.

Kierownik Instytutu: dr. med. HUGON KARWOWSKI.



SIWYM WŁOSOM
ORIENTINE
RÉGÉNÉRATEUR DE LA CHEVELURE



Piegi SĄ ZGUBĄ TWOJEJ URODY
UWOLNIJ SIĘ OD NICH TEJ WIOSNY I LATA
TAK ŁATWO TO UCZYNIĆ ZA POMOCĄ KREMU

Dr. Orgley'a

Jest on niezrównany. Za pomocą
 tego sławnego kremu **PIEGI**
 na pewno znikną, a jednocześnie
 skóra nabierze śnieżnej białości
 i miękkości
 ZADAĆ WSZĘDZIE



NOWOŚCI

SEZONOWE

Okrycia

Kostjumu

Suknie

W. Janiszewski i S-ka

Marszałkowska 145.



WYKWINTNE
I DOKŁADNE
„PRECIOSA”

P E R F U M Y
M Y D Ł A
P U D E R

„RIVIERA”

WYKWINTNY ZAPACH
WYTWORNE OPAKOWANIE

Sp. Akc. WILD i S-ka

W WARSZAWIE

Sklepy własne:

NOWY ŚWIAT 69, BIELAŃSKA 25

Woda Koloriska JSTE jest KORONĄ wszystkich wód koloriskich.

½ butelki zł 2,-
¼ butelka „ 2,75
¼ litr. but. „ 4,50
½ „ „ „ „ 7,50



J. & S. STEMPNIEWICZ-POZNAŃ
ODDZIAŁY: WARSZAWA, KS. SKORUPKI 8. • RADOM, PIASKI 12.

Oto jest!

Cud techniki

„MAŁY REMINGTON”

trwały, lekki, tani

niezbędny

w domu, w biurze, w podróży

Tow. Block-Brum

Sp. akc.

Warszawa, Hotel Bristol





NOWOŚCI
SEZONOWE

KONOPKA
&
REDULSKI

MARSZAŁKOWSKA 130 TEL 30-01

WEŁNY JEDWABIE
WEŁWETY PLUSZE

MATERJAŁY NA UBIORY MĘSKIE



HERBATA
ANGIELSKA
ESTRAMERCO

Nr. 34

ZACHODNIE TOWARZYSTWO DLA HANDLU I PRZEMYSŁU

Sp. Akc.

WARSZAWA, SENATORSKA 10 — ŁÓDŹ, TR AUGUTTA 6



T. GRANOWSKI 1913



C U K I E R N I A
Z I E M I A N S K A
WARSZAWA — MAZOWIECKA 12

Dani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 5

15 KWIECIEŃ 1925

ROK IV



MARJA KS. RUMUŃSKA (DZISIEJSZA KRÓLOWA) Z CÓRKĄ ILEANA

Portret B. Szańkowskiego

Przebieg Jednania

Ja i Pani — ach! przepraszam, — Pani i ja, jesteśmy jako kochankowie, którzy czasem dlatego się pokłócą, aby się potem słodko pogodzić. Dzieje się to zazwyczaj z okazji radosnych świąt, w okresie Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy. Na żydowskie święta mało zwracamy uwagi. Przysięgamy sobie wtedy miłość wieczną, rzucamy się sobie w objęcia — i słońce promienieje nam w duszach. Gdybyśmy mieli ciełę, zabilibyśmy je na ucztę. Całe szczęście, że ani Pani, ani ja nie umiemy gotować. Po niedługim jednak czasie na szafirowe nasze niebo nadpływa chmurka, zaczynamy się dąsać: Pani rzuca na mnie słowem ciężkiem, jak żelazko do prasowania, a ja chwytam pióro i ciskam je, jak bumerang. Powstaje znowu mała awantura i znowu mija czas niejaki, zanim się do siebie zaczniemy uśmiechać.

Właściwie, to my się bardzo z Panią kochamy. Tylko kobiety złe i bez serca myślą inaczej. Kobiety czułe, mające oczy niebieskie i duszę niebieską, wiedzą, że jak się miłuje kwiaty, tak należy miłować kobiety, i że tak samo, jak się nienawidzi kwiatów sztucznych, fałszywych i pretensjonalnych, tak należy nienawidzić fałszywej odmiany kobiety: „chłopczycy“, „demonicznej“, — „sfinksy“, — kobiety cynicznej, pustej, przyziemnej, bezwstydnej. To samo prawo ma kobieta w stosunku do mężczyzny, a raz w rok, około Wielkiej Nocy, należy przyznać uczciwie, że na dziesięć kobiet dwie są diabła warte, a na dziesięciu mężczyzn czasem jedenastu należy nabić w moździerz i z wielkim hukiem wystrzelić podczas rezurekcji.

W słusznym podnieceniu piszą czasem do mnie miłe Panie, zapytując, czemu to tak złośliwie zajmuję się nimi, a nigdy nie piszę o mężczyznach? Miły Boże! Z tego prostego powodu, że kobieta jest tematem ciekawszym; że miło jest mieć do czynienia ciągle z kwiatami; że można i trzeba liczyć na wrodzoną kobiecie słodycz, która pojmie żart, a że mężczyzna, jeśli nie jest genjuszem, jest fabryczną tandetą; że nie jest miło zamiast między kolibry włożyć między słonie — i tak dalej. Poza tem o mężczyźnie powinna pisać kobieta, o kobiecie mężczyzna. Dlaczego? Dlatego najpierw, że jeśli się o czemkolwiek pisze, należy czuć wielką miłość do tego przedmiotu, inaczej bowiem słowa będą martwe, bez zapachu i bez blasku. Kobieta, śmiem twierdzić, potrafi miłować wszystko, nawet swoje krzesło, nawet swego męża, nie zdoła jednak miłować drugiej kobiety. Ja uwielbiam kobietę, lekkomyślny i dlatego tak śliczny twór boski, przyglądam mu się z zachwytem i z po-

dziwem, obserwuję go z entuzjastyczną pasją i dlatego o nim piszę. Kobieta na kobietę nigdy nie patrzy, tylko ją lustruje, nigdy nie widzi jej, tylko to, co jest na niej; nie wejdzie nigdy do jej serca, bo jej nie obchodzą zmarszczki na sercu, tylko na twarzy. Tak samo prawie patrzy mężczyzna na mężczyznę, nie widząc się nawzajem. Na mężczyznę patrzy kobieta inaczej. W pragnieniu miłości, w wielkim i czystym pragnieniu, umie dojrzeć ostatni zakamarek serca. I to jest mądrością kobiety. Tęsknota miłości jest jej precudownem pięknem!

W wieczystej, okrutnej walce o prawdę miłości (wprawdzie należałoby to określić bardziej naukowo, ale my mówmy pięknie!), przeciwnicy, pragnący się rzucić w objęcia, obserwują się z niesłychaną spostrzegawczością i wiele, wiele wiedzą o sobie. Mężczyzna po wielu tysiącach lat zdołał poznać już jedną miljonową część zawłości kobiecej duszy, kobieta poznała niemal już wszystkie przejawy bałwanowości męskiej i jej aktorskie manjery.

Gdyby się znalazła taka genjalna kobieta, któraby umiała zrobić chemiczną analizę mężczyzny i opisać to świetnie i zajmująco, połowa mężczyzn musiałaby skończyć samobójstwem. Ponieważ niema takiej, a jeśli zaczyna pisać, to zaraz, zamiast strzelić z cudownej strzelby ironicznego dowcipu, zaczyna rzucać w mężczyznę fajansowymi talerzami, — mężczyzna, małpozwierny jeden, chodzi bezpiecznie po świecie. Jeśli kobieta pisze powieść o mężczyźnie, to w dziewięciu wypadkach na dziesięć, mężczyzna jest plugawym potworem, który uwiódł jakiś Poranek, jakiegoś tam rzewne biedactwo, a potem uciekł, filucik z pod ciemnej gwiazdy. A to nie o to idzie, nie o to! Trzeba w cudowny sposób zdemaskować rafinowanego złoczyńcę, który nie uwodzi szwaczek, lecz chce rządzić i królować i urabiać duszę kobiecą na swój ład, na swoje — och! — potrzeby. Takiego to trzeba obedrzeć ze skóry, ale nie z wrzaskiem i postękiwaniem w powieści, tylko wesoło, wytwornie i tak dowcipnie, aby ten obdzierany ze skóry także się śmiał, trochę pewnie fałszywie, ale aby się śmiał.

Taki genjusz kobiecy z pewnością się kiedyś narodzi, bo natura czasem i kwiatom daje możliwość obrony, jakiś kolec, albo zapach trujący. Uradowałbym się szczerze, bo właściwie dzieje się nieładnie; przychodzi jeden taki z drugim słoń do oranżerii i tańczy sobie po orchideach; a orchideje — w płacz...

Z drugiej strony, rzewna słodycz, co na obronę swoją

ma tylko uśmiech miłości, jest tak bosko, tak przedziwnie piękna, że może lepiej, aby taka była. Chociaż trzeba pomyśleć, że najbardziej błękitna rzecz świata, najbardziej łaskawa i pogodna, uśmiech siejąca — niebo, kiedy ma już dość ziemskiego plugastwa, marszczy się, chmurzy, poczem gniewem stalowym twarz farbuje i wreszcie strzela piorunami, — niebo nawet, pełne słodyczy i aniołów.

Trudna sprawa, — niech ją rozstrzygnie kobieta. Wielka tylko szkoda, że kiedy kobieta ma co rozstrzygnąć, to potrwać to może dwa tysiące lat. Z wyborem metody działania, może być, niestety, tak, jak z wyborem kapelusza. To byłoby tragiczne.

Myszę, że się kobieta nad tem zastanowi. Męża przecie nigdy niema w domu, więc ma czas. Niech tylko rozmyśla w samotności, jeśli bowiem do tej akcji zechce powołać komitet, cała sprawa przepadnie na samym wstępie, przy obiorze przewodniczącej.

O, jak bym ja, który znam metody walki — (niech mi panie przyznają, że nigdy nie była podstępna, bo jednak zawsze prowadzona z uśmiechem i z rewerencją i miłością tkliwą, choć zamaskowaną) — jak bym ja pragnął nauczyć kobietę jej tajemnic: jak się należy wbić spojrzeniem w skrzynię cedrowe na siedem zamknięte pieczęci, jak patrzeć długo i uważnie, poznać, zrozumieć, a potem zaśmiać się głośno, śmiechem zwycięstwa, lecz nie jadowitym, takim tylko, w którym brzmi cichutka nuta uwielbienia i miłości, szeptem drżącym mówiąca: „O, kwiatuszku śliczny! masz skazę na świeżej białości płatków w swojej koronie. Uczyni tak, aby ci ją wypilo słońce, abyś była bez zmazy!”

Największym mojem pragnieniem jest to, aby kobieta uwierzyła w moją dla niej nieludzką zupełnie sympatię. Gwiżdżę na garconnę, niecierpię kabotyństwa, dostaję konwulsji na widok niewytwornej oschłości, na widok kobiecego serca, nalanego octem; na widok pięknej twarzy, pomalowanej irytacją i gniewem; dostaję szału na widok kobiety niepożytecznej, nie umiejącej ani ładnie pisać, ani gotować, ani wychować dzieci, ani zaśpiewać nieuczzonej piosenki, lecz pretensjonalnej, bez smaku ubranej, pusto

gadatliwej, duszyczki marnej, dla której fryzjer jest czemś większym, niż poeta. Tego samego zdania są o nich wszystkie zresztą kobiety. Nie ja to przecie wymyśliłem.

Poza temi mam dla kobiety uwielbienie. Dla tej kobiety, bez której świat byłby pustynią i siedliskiem Kalibanów. Dla tej, która jest miłością i słodyczą. Dla bóstwa, które do lodowni ziemi wniosło promień uśmiechu. Dla tej, która nie w lustrze przegląda się dzień cały, lecz w niebieskich, jak niebo, oczach swoich dzieci. Dla tych, które odejda z nakazu miłości i nakazu czystego serca nawet w piekło i nawet w szaleństwo. Dla tych, które umieją cierpieć tak, że nawet cierpienie zamienia się w miłość.

O, długo, długo trzebaby wyliczać najprzedziwniejsze cnoty kobiecego serca. Nie znam ich nawet cząstki. Tak bowiem, jak możnaby odnaleźć w sercu kobiecym najcudowniejsze i najmniej oczekiwane formy pustego szaleństwa, tak tam wykwitają czasem, niespodzianie, pod tchnieniem słodkiego wiatru miłości najcudowniejsze kwiaty, którychby żaden, renomowany nawet święty, nie potrafił wywieść ze swojej świątobliwej duszy.

Myszę, że po tem wyznaniu, miła i słodka kobieta uśmiechnie się do mnie, aby mnie wprowadzić w obłąkaną radość. Ponieważ jest czas świąt, może się stanę godnym tego, że się podzielimy jajkiem wielkanocnym. Na miarę mego wzruszenia potrzebne będzie jednak jajko strusie.

Życzenie moje będzie krótkie i generalne: niech każda kobieta znajdzie miłość swoją...

I wielka pani i mała, blada szwaczka, która ma serce, pełne tęsknoty tak białej, jak to płótno, które pracowicie szyje.

Porzucę jutro bukiet fijołków na ławce ulicznej: niech je znajdzie takie biedactwo, smutno zamyślane i niech sobie pomyśli radośnie, że to złożył dla niej ktoś, kto ją kocha rzewnie i tkliwie, jak i wszystkie kobiety, bardzo biedne, bo nie mogące jeszcze znaleźć miłości swojej.

I nie pomyli się.

Wszak fijołki złożę ja. A to będzie większe i piękniejsze, niż sto feljetonów o kobiecie.

Kornel Makuszyński.



Ballada Izoldzie



I

Kasztelanka Izolda fijołkowe ma oczy,
Fijołkowe ma oczy i rzęsy ma złociste.

Zasię główka Izoldy tonie w czerni warkoczy,
Tonie w czerni warkoczy, gdzie się skrzą ametysty.

Kasztelanka Izolda ma dłonie jak motyle,
Jak motyle ma ręce, jak białe orchideje.

Ramiona się różowia skroś dzierzgane mantyle,
Skroś pajęcze mantyle jutrzeńka ramion dnieje.

Usta słodkiej Izoldy są jak żrałe granaty,
Jak soczyste granaty, przeświecone perłami..

W bransoletach rzeźbionych koło ramion agaty,
Czarodziejskie agaty płoną nocy mrokami.

Zasię nóżki dziewczyny są jak śpiące magnolje,
Jak uśpione magnolje jeszcze w pąkach różowych!

Że się chce z pocałunków uczynić stopkom kolje,
Płonące szczęściem kolje dokoła stóp i głowy!

II

Kasztelanka Izolda na krużganku z marmuru,
Z różowego marmuru, siaduje w karle złotem.

I przesiewa rączkami perełki z Mangaluru,
Malabarskie perełki, jak różowe pieśczoły!

Fijołkowe oczęta kasztelanki Izoldy
Są przeczyste jak źródła przenajświętsze Gangesu.

Przecie skrzą w nich ogniki, niby psotne koboldy,
Jak swawolne koboldy, z zagajów aloesów.

Jednak czasem tęsknota płonie wstęgą szkarłatu,
Płonie wstęgą szkarłatu na usteczkach maleńkich, —

Wtedy słodka dziewczeczka tuli w szal się z Maskalu,
W szal arabski z Maskalu, z niteczek tkany cieniutkich...

Wtedy jasnej Izoldy nie cieszą pereł blaski,
Ani złote topazy, ani wielkie beryle, —

Wtedy marzy o groźnem, martwem pięknie Alaski,
Albo płacze bezsilnie, śniąc słoneczne Antylle.





III

*Kasztelanka Izolda pośród róż i klejnotów,
Pośród pereł Kalkutty i kaszmirskich tkaninek,*

*Coraz częściej śni tęsknie ciemny bronz Hotentotów,
Albo żółtość japońskich, skośnookich dziewczynek.*

*Już nie czieszy dziewczęta subtelność aquamarin,
Subtelność aquamarin, ni lila ametysty,*

*Po nocach straszy dziewczę uśmiechnięty mandaryn,
Najzłośliwszy mandaryn, z rękami ziemnej glisty...*

*Nocą schyla się nad nią zmarły nurek z Kalkutty,
Straszny łowca z Kalkutty, z obrzękłą, siną twarzą.*

*I umarła Izolda snem perłowym zatruta!
I jeszcze w srebrnej trumnie swe obłądne sny marzy...*

Juljusz Wirski

PANIA WIOSNA

Tyle już rymów i pięknej prozy porównywało Panią zwiosną i odwrotnie, że najwyższy czas podnieść i podkreślić różnice, gdyż w pojęciu cierpliwego Czytelnika mogły się one całkowicie zatrzeć i dwie te instytucje stać się synonimami—a tak bynajmniej nie jest.

Panią różni bowiem od wiosny cech więcej, niżli milionów liczy nasz deficyt, mimo że do tego ostatniego jest ona w dalszych analogjach wielce zbliżona, gdyż wszelkie ściślejsze z nią obrachunki moralne i inne—kończą się deficytem, oczywiście po stronie mężczyzny.

Że wiosna jest miłsza, nie trzeba się chyba rozwodzić, bywa tylko raz w roku, zawsze świeża, pożądana i kończy się latem, wiele zaś Pań kończy się—starem pudłem, z którym nie wiadomo co począć nawet w kalendarzu, chyba ożenić je z Popielcem. Podobieństwo w kapryсах też jest naciągane, gdyż wiosna bez względu na pogodę jest punktualna i stała—z kobiet udało się to osiągnąć

jedynie żonie Faraona Tu-lung-amena i to w dzisiejszej roli mumji.

Mimo trzymania się przeważnie jednej starej mody, wiosna zjawia się nam zawsze szykowna, czy to w dziurach marcowego słońca, czy też w kwietniowych ozdobach śniegowych, i co ważniejsza, kostjum jej nie drożeje co sezon; bywa w miarę chłodna ale też i niezbyt gorąca, w czym przewyższa krańcowość Pań.

Stosunki z bocianami umie utrzymać na właściwej stopie bez wywoływania katastrof rodzinnych, a związki z nią samą są miłe, lekkie, i mijają jak jej słońce, nie palące ani wyniszczające.

Wiosna stanowczo przewyższa Panią, udziela się wszystkim, nawet suchotnikom, którym skraca męki życia—Pani umie tylko wpędzić w suchoty...

Kończę, bo właśnie miałem się spotkać z moją Zosią...

Stefan Nowiński.



Magja Drogich Kamieni

wedle nauki Filozofów i Doświadczeń wielu szlachetnie urodzonych
Dam i Kawalerów

spisat

Witold Bunikiewicz

Turkus

(Dokończenie).



TURKUS SPADA Z RANNA ROSA. Indowie niemają tego zdania jest wielu uczonych, iż turkus spada z ranną rosą. I tak jak ranna rosa jest przyjaciółką ziół, tak z pośród wszystkich kamieni największym przyjacielem człowieka jest turkus — i to zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet. Dlatego winien być noszony przez wszystkich bez wyjątku.



O PRZYJAŹNI TURKUSÓW. Dobrze jest nosić jeden turkus, lepiej dwa, a najlepiej naszyjnik, bo jeszcze nikt nie stracił, kto miał wielu szczerych przyjaciół. Małgorzata z Nawary, pani wielkiej uczoności, posiadała cudną kolję turkusową i mawiała, że ceni ją wyżej od wszystkich przyjaciół, bo na przyjaźni ludzkiej nieraz się już zawiodła, a na turkusach nigdy. To przekonanie znakomitej królowej wyszydzała jej krewna i na przekonanie, że tak nie jest, podarowała swój naszyjnik małej pękaty i ospowatej hrabinie z Mauberge, która dla swej szpetności była pośmiewiskiem dworu. I cóż się stało? Wszystkie łaski fortuny spłynęły na damę szpetnego oblicza: wyrównało się jej lice, opuściła ją zbytnia tłustość, a nawet wyrosła o 2 cale. Natomiast na lekkomyślną damę spadły nieszczęścia: zachorowała na ospę, złamała nogę tak, iż kulała do końca życia, a nadomiar złego — opuścili ją wszyscy kochankowie i przenieśli się do obdarowanej naszyjnikiem hrabiny.

Wtedy dopiero zrozumiała swój błąd.



TURKUS OSTRZEGA PRZED NIEBEZPIECZEŃSTWEM I WSZELKIE ZŁO BIERZE NA SIEBIE. Królowa Nawary słusznie twierdziła, że turkus jest najlepszym przyjacielem, bo nie tylko przynosi niebieskie i ziemskie szczęście, ale ostrzega przed niebezpieczeństwem i wszelkie zło bierze na siebie. Zdarzyło się mieszcze kolońskiej Katarzynie Helwig, iż podczas nieobecności swego męża, który wyjechał po kupię aż za morze, bawiła się z pewnym urodym młodzieńcem.

I gdy pewnego wieczora z nim się zabawiała, posłyszła nagle szum kamienia i słowa: weg, weg! Domyśliwszy się o co chodzi, wyprawiła miłośnika, a ledwie ten zamknął dzwirze, wpadł bardzo zagniewany mąż, który wrócił z za morza i dowiedziawszy się o zabawach małżonki, chciał ją pochwycić na grzechu. Przeszukał cały dom, lecz nic zdrożnego nie znalazł. Wtedy jednak chytra mieszcza odwróciła sprawę naopak i z takim gniewem wpadła na małżonka i tak go kłula językiem, że małżonek uznał swą winę i na przeblaganie gniewu kupił jej śliczny naszyjnik z turkusów. Odtąd nie wierzył kupiec żadnym plotkom i spokojnie wyjeżdżał z domu nawet na czas dłuższy.

Lekarz nadworny cesarza Rudolfa II Auselmus Boetius słyszał także jak turkus mówi, nie jest to zwykła mowa, ale chrzest kamienia, w czym nic dziwnego, bo w turkusie mieszkają siły nadprzyrodzone. Jakie są one trudziło się odgadnąć wielu filozofów i jednomyślnie przyszło do przeświadczenia, że są to siły dobre, anielskie i ludziom przychylne.



TURKUS ZAMIERA PO ŚMIERCI SWEGO PANA. Franciscus Rueus w księdze 2, cap. 18. „O drogich kamieniach” zaświadcza, że turkus cieszy się z powodzenia swego właściciela, smuci jego nieszczęściem, zamiera zaś po śmierci swego pana. Dlatego niektórzy fizjologowie przyrównują go do psa, jako do stworzenia, którego wierność jest zdawna osądzona przez autorów wszystkich bestjarjuszy.

Umarły turkus powraca jednak do życia, jeśli zostanie nowego właściciela. Wiedzą o tem klejnotnicy i chętnie kupują te kamienie po zmarłych, albowiem wtedy są one tanie, gdyż tracą dobry wygląd.



TURKUS ŚCIAGA NA SIEBIE NIEBEZPIECZEŃSTWA ZAGRAŻAJĄCE CZŁOWIEKOWI. Turkus żyje nie tylko wraz ze swym panem, ale w nieporównanej swej wierności ściąga na siebie te niebezpieczeństwa, które zagrażają człowiekowi.

Andrzej Toll, lekarz lzydejski, znał wypadek, jak pe-

wien doktor z Padwy, podróżując do Czech, runął wraz z koniem w przepaść i nie doznał żadnego szwanku, a natomiast turkus, noszony w pierścieniu, pękł na dwie połowy. Ten sam medikus zaznał jeszcze gorszej przygody, zwałił się bowiem na niego ogromny pień drzewa, a mimo to uczuł on tylko lekki ból, a kamień rozłupał się po raz wtóry.



TURKUS STUDZI ZAPĄŁY I USPOKAJA KREW. Damy pamiętać winny, iż niedobrze jest dawać turkusy miłośnikom i mężom.

Ostudzają bowiem zapąły, uspokajają krew i wyciągają gorącość

Pani Teresa von Volkenstein skarżyła się bardzo, że mąż jej, niedawno poślubiony, czuje do niej zupełną oziębłość. Chcąc ukarać swego męża, pozyskała sobie pewnego młodego rycerza, o którym wiele opowiadały jej damy. Skoro jednak obdarowała go pierścieniem turkusowym, młodzieniec stał się jako i mąż.

Siedemkroć dobierała sobie zacna pani miłośników i zawsze skarżyła się na ich zimną krew, aż wreszcie przyprowadził ją do rozumu uczony lekarz, więc migiem odebrała swemu małżonkowi pierścień turkusowy i wręczyła go w podarunku proboszczowi z Rosenheimu, o którym opowiadano szpetne anegdotki. I stało się, że pani była zadowolona, a proboszcz wiódł odtąd świątobliwe życie.

Ametyst



AMETYST PRZYNOSI DOCZESNE SZCZĘŚCIE. Wszystkie narody ceniły sobie ametyst, jako kamień ziemi, przynoszący doczesną fortunę.

W wielkiem poważaniu był on u króla Dawida, u Salomona i Sa-

ula, a nazywał się po hebrajsku „lachlamach”. Chaldejczycy zwali go „enegla” i przypisywali mu wiele właściwości, jak: płodność kobiet, urodzaj zboża, powodzenie we wszystkich zamiarach i ochronę przeciw pożarom.

Dobrze jest nosić ametysty, ale czynią to panie pospolite, którym zależy więcej na doczesności, niż na subtelnem przenikaniu wieczystych zagadek.

Helideus Padoanus w swych „Radach”, które wielu ludziom wyszły na dobre, nie przypisuje ametystowi żadnych większych zdolności. Inni zaś filozofowie i fizjologowie doradzają obdarzać ametystem małżeństwa w dzień ślubu, aby nie zostały bezdzietne. Natomiast pannom i kawalerom wystrzegać się należy tego klejnotu.



KRÓLOWA ELŻBIETA ANGIELSKA DOBRZE ZAŻYWAŁA KLEJNOTÓW. Elżbieta, królowa angielska, tak nienawidziła ametystów, iż widok ich przyprowadził ją o mdłości, a szereg innych pań przed nią doznawało tego samego uczucia. Królowa

Elżbieta była ostatnią panią, która ufała influencji drogich kamieni i nigdy się na nich nie zawiodła, jak świadczy historia.



ODAMIE PRAWDZIWEJ I FAŁSZYWEJ. Dama ta twierdziła, że osobom wysoko postawionym wypada nosić tylko klejnoty pierwszego chóru. Niekiedy wolno jej także kłaść kosztowności trzeciego chóru, jako to: koral i bur-

sztyń; gdyż wdzięczne są one i radują się wielce, jeśli zawisną na piersiach dostojnej a pięknej damy, przez co przybywa im krasy i stają się bardzo ozdobne.

Kamieni gwiazdnego chóru, jako to: topazów, beryli, onyksów, chryzoprasów, hjacentów, agatów, jaspisów, he-liotropów, sardonitów i t. d. używają oszuści do sporządzania fałszywych djamentów, rubinów, szmaragdów, turkusów i ametystów, przeto niegodną jest rzeczą, aby je używała dama prawdziwa, a jeśli je używa, nieprawdziwą jest damą, lecz fałszywą.

Wyjątek w chórze gwiazdnym stanowią tylko granaty i te nosić wolno nawet królowej.

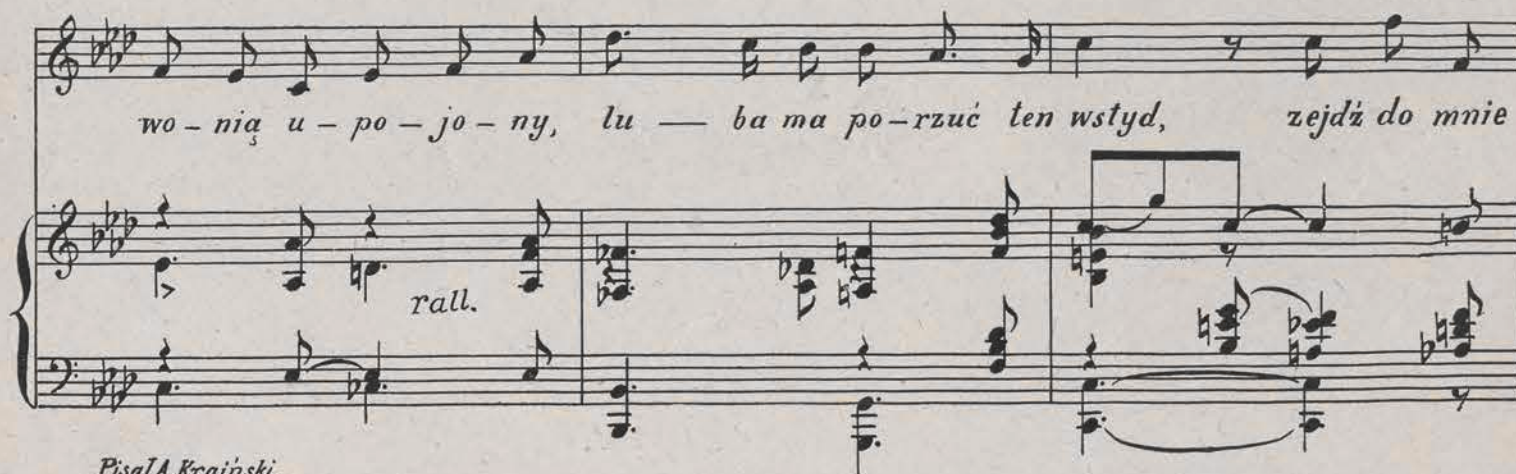
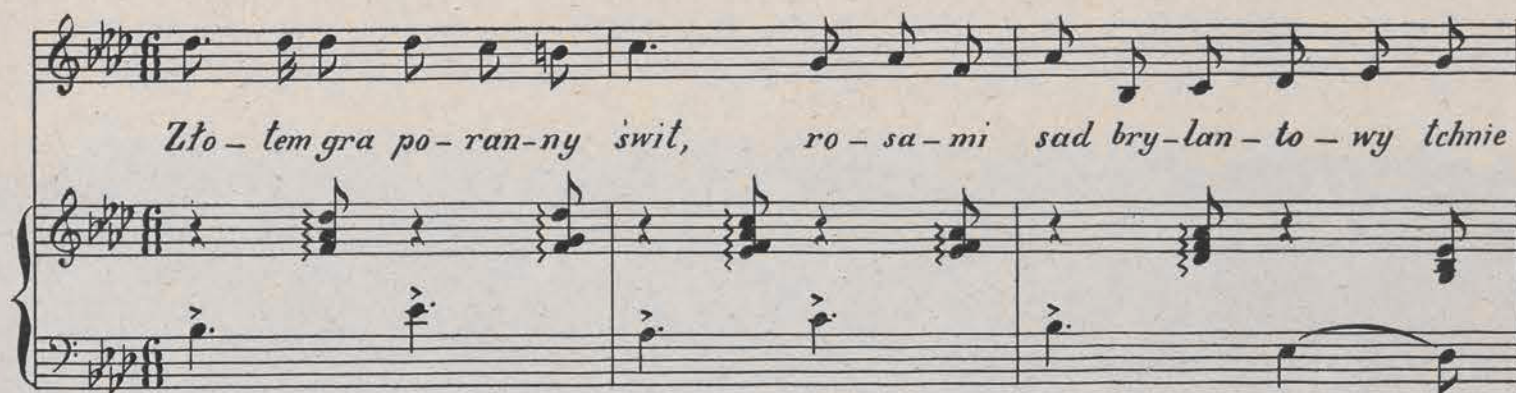
Tak mawiała Elżbieta, a była to ostatnia pani, która szczyliła się znawstwem drogich kamieni; po niej nastąpiła ciemność i barbarzyństwo, a niemądre zażywanie klejnotów sprowadziło na ten świat wiele straszliwych nieszczęść.





Muz. L. Marczewski.
St. Z. Kleszczyński.

$\text{♩} = 52.$



Pisał A. Krain'ski.

zejdź do mnie, jak cu - dny mił....

Lu - ba ma u - stysz ten

zew, mi - ło - ścia wio - sna nas po - i jak wi - nem i sza - łem,

niech w two - jej krwi tę - tni śpiew

nie - chaj świat ca - ty drży jak ja! Zejdź do mnie, zejdź! Ach zejdź!

Sło - dycz u - ro - czych twych kras mi - to - sny szat roz - pieś - czo - nych ust,

któ - re po - zna - tem, li - tuj się dziś mo - ich skarg o daj mi

daj je - dyna kwiat two - ich warg!



STUDJUM.

B. SZANKOWSKI.



PORTRET P. M.



KS. ELŻBIETA RUMUŃSKA.

B. SZAŃKOWSKI.

BOLESŁAW SZAŃKOWSKI

Od niepamiętnych czasów wędrowali polscy artyści do obcych krajów w poszukiwaniu sławy i fortuny. Od niepamiętnych czasów spotykamy w niemieckich, włoskich, hiszpańskich wykazach, artystów, których przydomek „Pollack”, czy „Polacco”, wyraźnie świadczy o przynależności narodowej. Niektórzy z nich dochodzili znacznej sławy, jak na przykład ów Jan Pollack, czynny w Monachjum w początkach wieku XVI, lub Ziarnko, po francusku przezwany Le Grain, po włosku Il Grano, jeden z wybitniejszych sztycharzy XVI stulecia. W wieku XVIII cieszą się popularnością: we Francji — Kucharski, w Hiszpanii — Konicz, w Niemczech — Chodowiecki.

Niestety, Polska nie zawsze interesuje się tymi wychodźcami, którzy, wchodząc do historii sztuki obcych krajów, stają się straceni dla własnej ojczyzny. I przeciwnie: cudzoziemcy, w Polsce pracujący, zyskują tu sobie wkrótce prawo artystycznego obywatelstwa, za czasów dawniejszych połączone nieraz z indygenatem. W taki to sposób weszli do historii sztuki polskiej Norblin, Bacciarelli, rodzina Lampich, Grassi i inni.

Bolesław Szańkowski kontaktu z krajem nie stracił: w spisie jego portretów figuruje nie jedno nazwisko polskie — a jednak działalność jego, tak popularna w Niemczech, w Anglii, nawet w Rumunji, publiczności polskiej jest niemal zupełnie nieznaną. Skorzystaliśmy też ze sposobności pobytu artysty w Polsce, aby poprosić go o wywiad, który zapoznałby nas mógł z twórczością wybitnego portrecisty, celującego zwłaszcza w podobiznach pań. Szańkowski chętnie przychylił się do naszej prośby, uprzejmość swoją posuwając tak daleko, że przybył umyślnie z Poznania, gdzie pracuje nad portretem generała Raszew-

skiego, aby osobiście udzielić nam wiadomości, dotyczących jego osoby i sztuki.

Rozmowa zaczęła się od przedmiotu, który z życiowego punktu widzenia obchodzi nas najbardziej.

— Jak się to stało, że pan, jako polak, a zatem przedstawiciel narodu, o którym w czasach przedwojennych Europa usiłowała zapomnieć, stał się jednym z najbardziej cenionych portrecistów na dworach europejskich?

— Stało się to niemal, że przypadkowo. Będąc w Monachjum w roku 1911, wystawiłem kilka portretów kobiecych, które zwróciły uwagę i pociągnęły za sobą szereg zamówień. Jedno z pierwszych pochodziło od ówczesnej następczyni tronu, a obecnej królowej rumuńskiej Marii, bawiącej podówczas w Bawarii. Dzisiejsza królowa była wtedy w pełnym rozkwicie urody, którą odziedziczyła po niej córki: Mignon, obecna królowa Jugosławii, oraz małeńka jeszcze w owym czasie Ileana. Uroda moich modeli pociągnęła mnie, jako artystę, portrety wypadły dobrze. Namalowałem w przeciągu krótkiego czasu księżnę Marję z córeczką Ileaną, księżniczkę Mignon i księżniczkę Elżbietę, późniejszą królową grecką.

— Poszły za tem prawdopodobnie i dalsze zamówienia?

— Tak jest. Wkrótce po powrocie księżny z córkami do Rumunji nastąpiło zaproszenie do Bukaresztu, celem wykonania portretu króla Karola. Otrzymałem pracownię w pobliskim klasztorze Kotroczeni i w dzień przyjazdu zaraz zaproszony zostałem do dworu na obiad. Debiut mój dworski rozpocząłem zresztą od spóźnienia, nie licząc na tak ścisłą punktualność. O godzinie 6-tej wpadł do mnie służący z wiadomością, że ich królewskie ności siadają do stołu. Król nie wziął mi jednak tego spóźnienia za złe



PORTRET CÓRKI HELENY

B. SZANKOWSKI



BEATRICE DE GASSER

B. SZANKOWSKI

i nazajutrz rozpocząłem pierwszy jego portret, urzędowy i sztywny, w mundurze galowym. Malowałem następnie króla w pozie swobodniejszej i w prostej kurtce myśliwskiej; jak się łatwo domyśleć, poszedł za tem szereg zamówień od dygnitarzy państwowych i ich małżonek. Powstały podówczas między innymi portrety Marghilomana, Maiorescu i księżny Sturza.

— Gdzie, poza dworem rumuńskim, miała sztuka pańska największe powodzenie?

— W Niemczech, a przede wszystkim w Anglii. Byłem zawsze gorącym wielbicielem malarstwa angielskiego, które, o ile o portret kobiecy chodzi, osiągnęło w końcu wieku XVIII najharmonijniejsze połączenie prawdy i wdzięku, co jest w danym wypadku połączeniem idealnym. Ten związek z tradycją Reynoldsa, Gainshorough i Lawrence'a musiał widocznie odpowiadać angielskiemu poczuciu estetycznemu; pracowałem tam dużo i bardzo owocnie.

— Poza portrecistami angielskimi, których sztuka tak dobroczynny wpływ wywarła na rozwój pańskiej indywidualności, jacy ze starych mistrzów byli przewodnikami pańskiej sztuki?

— Przede wszystkim Velazquez, dla którego odbyłem nawet pielgrzymkę do Madrytu. I u niego również uderzał mnie potężny realizm, połączony z wykwinem, tak doskonale odpowiadającym typowi jego artystycznych modeli.

— Czy tych ulubionych swoich mistrzów studiował pan tylko przyglądając im się, czy też zapoznawał się pan z tajemnicami ich techniki przez kopjowanie?

— Wolałem zawsze analizować ich twórczość, jako widz. Wykonałem jednak w swoim czasie kilka również kopji.

— Poza prawdą i wdziękiem co ceni pan najwyższej w portrecie kobiecym?

— To coś zupełnie nieuchwytnego, co jest właśnie — istotą kobiety. Pamiętać trzeba o tem, że kobieta nie ma nigdy swego zdecydowanego, wyraźnego typu, który u mężczyzny przebija się poprzez wszelkie zmiany zewnętrzne ubrania, pozy, nawet uczesania i zarostu. Kobieta jest w różnych chwilach swego życia najzupełniej różna. Inna w sukni domowej, inna na balu. A jednak jest coś, co te różne momenty wiąże i jednoczy i co sprawia, że brunetka, zmieniawszy kolor włosów na „acajou", lub „paille", pozostaje zawsze sobą, pomimo zupełnej zmiany typu. Zaobserwowanie owej jedności zjawiska uważam właśnie za główne — i najtrudniejsze zadanie artysty, który się portretom kobiecym poświęcił.

— Pańska teoria wydaje mi się bardzo subtelna. Czy w sferach, w których się pan, jako portrecista, obracał, natrafił pan na zrozumienie tych subtelności i na właściwe odczucie sztuki?

— Odczucie to jest niekiedy krępowane pewną zachowawczością, która występowała najwyraźniej w poglądach artystycznych byłego cesarza niemieckiego, a którą mogłem zaobserwować, malując jego córkę i synów; jednak na ogół biorąc w tych nawet wypadkach, gdzie nie było istotnej, głębszej znajomości sztuki, zastępowało ją instynktowne poczucie piękna; gust estetyczny, wykształcony przez kulturę wielu generacji, oraz przez odpowiednie wychowanie i otoczenie.

— Jakie są plany pańskie artystyczne na najbliższą przyszłość?

— Na razie pozostaję w Poznańskim, gdzie po ukończeniu portretu generała Raszewskiego będę musiał wykonać szereg innych zamówień, między innymi i przede wszystkim ministrowej Ratajskiej oraz hr. Czarnieckiej.

T. Bor.



PORTRET ŻONY, JAKO NARZECZONEJ.

B. SZANKOWSKI.

K O B I E T A Ś W I A T A

Tak nazwał ją Norwid, któremu, bez przenośni, złała życie. Cóż mógł znaczyć dla Marji z hr. Nesselrodów Kalergis biedny kaleka? W orszaku, w którym przesunęli się Chateaubriand, Musset i Balzac, Liszt, Chopin i Wagner, Nietzsche, Gautier i Heine, Villiers de l'Isle Adam i Böcklin i tylu innych, twórca „Promethidionu” był une quantité négligeable.

Różne związki łączyły Marję Kalergis z temi największymi sławami współczesności, jeżeli niezawsze i niezupełnie tak zwane platoniczne, to kto z was, o piękne panie, bez grzechu, niech rzuci kamień na jej grób powązkowski. W niej kochało się mnóstwo ludzi, począwszy od warszawskich studentów, aż do ukoronowanych głów; ona jednak kochać nie umiała, niesłusznie uważa się ją za uwodzicielkę w wielkim romantycznym stylu. Inspiratorka artystów nie posiadała uczucia, nie zaznała go bowiem nigdy jako dziecko, nie odczuła tego, co się zwie ciepłem domowego ogniska.

Urodzona w 1822 r. z matki polki, wychowana w domu kuzyna swego ojca, znanego w historii kanclerza rosyjskiego, zostaje wydana za mąż za greckiego bogacza, z którym się wkrótce rozwodzi. Wówczas rozpoczyna triumfalny pochód po Europie. Wodzi rej w każdym salonie, zbiera laury jako wybitna pianistka, a jej orientację w sprawach polityki podziwiają co najwybitniejsi dyplomaci i panujący. „Dyplomacja w krynolinie”, jak mówi francuski monografista Marji Kalergis^{*)}. Coś ciągnie ją stale do Polski, ale choć przyznaje się do narodowości polskiej, jest jedną z tych nieszczęśliwych istot, które nie posiadają ojczyzny. Kosmopolityczny pięknoduch, o niezwyklej kulturze i intuicji artystycznej, nie wzbudza wielkiego zaufania, jeżeli chodzi o wartości charakteru. Chcieć pisać o urodzie — daremny trud, trzeba by ciągle cytować Gautiera, czy Norwida, którzy opiewali jej wdzięki.

U nas do dzisiejszego dnia kursują anegdoty o wielkiej damie. Nie lubiąc Rosjan, wychodzi powtórnie za mąż za Sergjusza (nie Pawła) Muchanowa w r. 1868 i osiada na stałe w Warszawie. Dzięki niej głównie rządy jej męża, jako dyrektora teatrów, są jasną kartą w dziejach sceny polskiej. Jest przyjaciółką i protektorką Deotymy, Modrzejewskiej, Bogusławskiego, Moniuszki, Żeleńskiego i in., bierze udział w każdej niemal imprezie społeczno-artystycznej.

Do jej niezbadanych zresztą dziejów na terenie polskim przybywa epizod ze znanym malarzem historycznym, Ale-

ksandrem Lesserem. Pierwsza wzmianka w jego dzienniku, o istnieniu którego podaję tu po raz pierwszy do wiadomości publicznej, brzmi następująco: „Pani Calergis zaprosiła się do mojej pracowni i długo u mnie bawiła; bardzo była miła i zadowolona”. Zapewne — inni artyści, z którymi miała do czynienia, byli tak natarczywi i niegrzeczni w porównaniu z tym skromnym człowiekiem, o łagodnym... temperamentem. Ucieszyła go ta wizyta z d. 24 kwietnia 1858 r., ale jeszcze bardziej uradował się zapewne tegoż roku na balu sylwestrowym w Resursie, gdy — jak pisze — „Calergis, która właśnie z Monachjum wróciła, oświadczyła mi wobec hr. Kossakowskiego liczne ukłony od Kaulbacha, Szwinda etc., i oświadczyła, że bardzo łaskawie o mnie mówili”. Zacytowane nazwiska o wszechświatowej sławie, to ukochani profesorowie Lessera. Potem dopiero, 23 marca 1860 r., notuje nasz malarz, że otrzymał zaprosze-

nie listowne, którego facsimile podajemy, do „genjalnej i miłej Pani Calergis, z domu Nesselrode. Był tam piękny koncert, w którym ona grała, Kontski (sic!) i inni”. Na wieczór ten gospodyni ściągnęła z łatwością całą śmietankę towarzyską i intelektualną stolicy. Honorowano ją tu niezwykle; kiedy 2 maja 1860 r. daje koncert na dochód Konserwatorium, Lesser notuje, że wśród wielu wieńców, jeden „otrzymała solennie od artystów”. Jej gra musiała wywrzeć silne wrażenie na malarzu, bo wykonał rysunek tego koncertu i ofiarował 12 maja wirtuozce. Na drugi dzień, a była to przypadkowo 46 rocznica jego urodzin, otrzymał od niej list z podziękowaniem. Odzwierciadla on tak doskonale wytworność i galanterję tej wybitnej osobistości, że warto go przytoczyć:

„Je chercherais en vain, mon cher Monsieur Lesser, des paroles pour vous peindre ma (słowa nieczytelne) et mon émotion à la vue du beau dessin que vous m'avez envoyé. — Votre nom et votre talent donnent une (słowo nieczytelne) toute particulière à un souvenir, qui m'était déjà bien cher. — Je regrette de ne pouvoir vous dire de vive (sic!) soin ce que je vous dis si mal par écrit. — Car je pars demain matin mais je reviens dans 3 mois, et je serai bien heureuse de me retrouver au milieu de ceux qui me témoignent tant de bienveillance. Veuillez me conserver la votre et soyez persuadé que je ferai tous mes efforts pour la justifier. A l'expression insuffisante de mes remerciements permettez moi de joindre celle de mon admiration et affectueuse sympathie.

„Je chercherais en vain, mon cher Monsieur Lesser, des paroles pour vous peindre ma (słowa nieczytelne) et mon émotion à la vue du beau dessin que vous m'avez envoyé. — Votre nom et votre talent donnent une (słowo nieczytelne) toute particulière à un souvenir, qui m'était déjà bien cher. — Je regrette de ne pouvoir vous dire de vive (sic!) soin ce que je vous dis si mal par écrit. — Car je pars demain matin mais je reviens dans 3 mois, et je serai bien heureuse de me retrouver au milieu de ceux qui me témoignent tant de bienveillance. Veuillez me conserver la votre et soyez persuadé que je ferai tous mes efforts pour la justifier. A l'expression insuffisante de mes remerciements permettez moi de joindre celle de mon admiration et affectueuse sympathie.

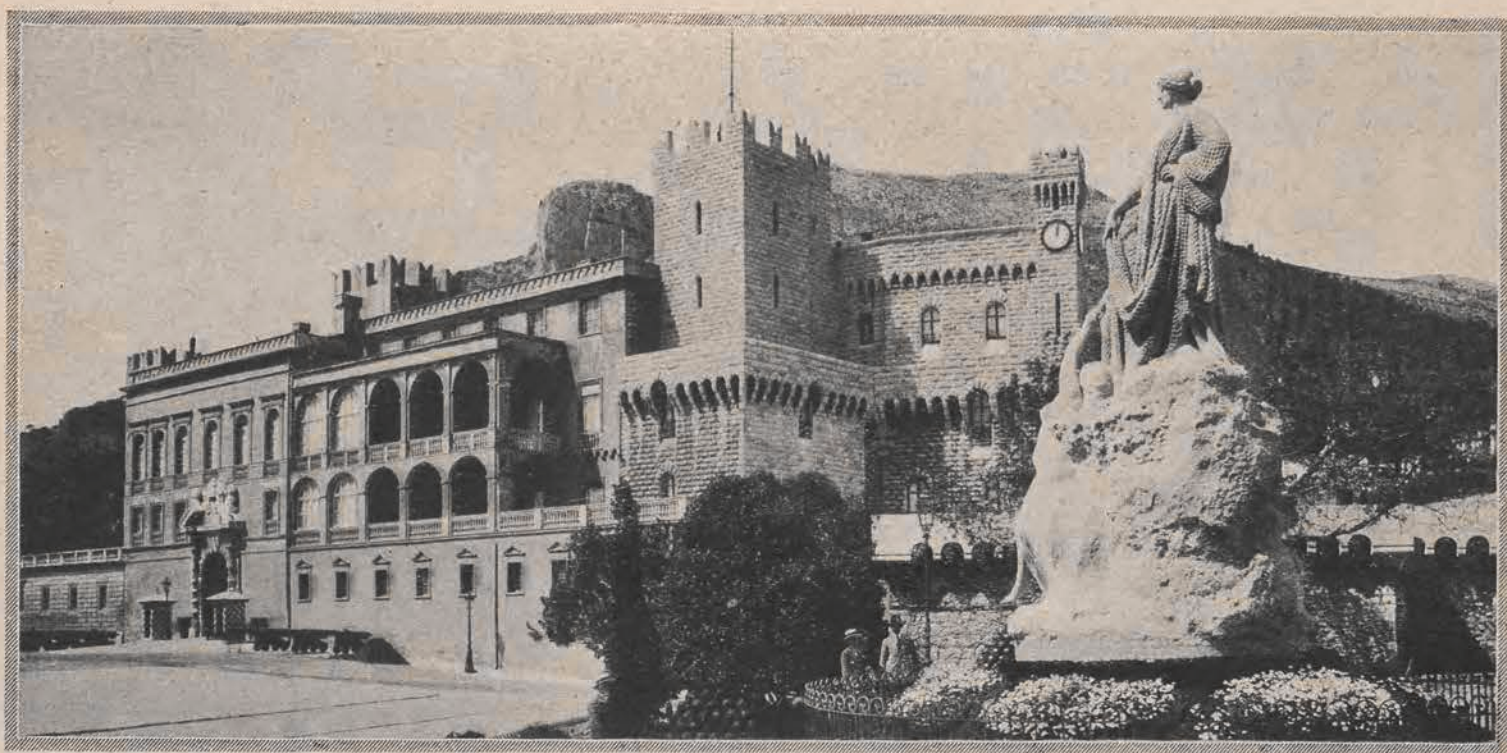
Marie Kalergis”.

Po roku 1860 nie znajdujemy żadnej wzmianki w dzienniku Lessera o pani Muchanow, chociaż ów list zapowiadał najserdeczniejsze między nimi stosunki. Zerwanie ich nastąpiło prawdopodobnie nie z winy poprzednika Matejki, lecz z woli czy kaprysu „kobiety świata”.

Eugenjusz Land.

*Si vous n'avez rien à faire
venez passer un
petit peu de temps, comme
de venir passer un peu
de temps chez moi vers 10
heures.*
Marie Kalergis

^{*)} Constantin Photiadés. Marie Kalergis. „La Symphonie en Blanc Majeur” Paris. 1924.



PAŁAC KSIĘCIA MONACO

Echa Nicejskie

Słońce, w marcu 1925.

Przyjechałem w odwiedziny do bohaterki nieprzeliczono-
nego mnóstwa powieści, poezyj i sonetów. Chciałem zoba-
czyć, jak się ma i jak wygląda w tych czasach coraz tań-
szej cnoty i coraz droższego chleba — Słońce nad palma-
mi i aloesami w styczniu.

Pani Riviera, znana także pod innym pseudonimem: „Ja-
sny Brzeg”, „Brzeg Lazurowy”, „Côte d'Azur”, jest najgo-
ścinniejszą z niewiast. Przyjmuje każdego w swym wiel-
kim apartamencie francuskim, który ciągnie się od Mentony
do Cannes. I nie wchodzi też w drogę włoskiej swej
sąsiadce, która w najpiękniejszym ze swych salonów, San
Remo, — również liczne zbiera towarzystwo. Ale tam, po
tamtej stronie Ventimiglii — jest cicho i jak narzekają
niektórzy, jednostajnie (to znaczy: nudno), tu zaś, w pa-
wilonie francuskim — bardzo wesoło i żywo. Zwłaszcza
dwie miejscowości są jak dwa wielkie kluby, w których
można rozsiąść się wygodnie i być jakiś czas lordem —
Nizza i Monte Carlo.

Najciekawiej jest w Monte Carlo. Jeśli prawda jest,
że muzyka dobra jest muzyką cichą, to księstwo Monaco,
władca i włodarz tego czarującego golfu, — jest najlep-
szym na świecie zespołem. To poprostu najlepsza muzy-
ka kameralna. Tu się gra tak cicho, że niktby nie powie-
dział, że to gra naraz tysiąc ludzi przy kilkunastu lub
niekiedy kilkudziesięciu stołach. Albowiem do „salonów
prywatnych” z bakaratem — wejść wolno tylko za bardzo
wysoką opłatą. Szeroki więc ogół, a zwłaszcza plebs inte-
lektualistów, prawie że o nich nie wie i ich nie widział.
Zresztą „salons privés” — któżby myślał wogóle, że ich

progi może przekroczyć śmiertelnik? Jest to tedy niesły-
szalna muzyka za kulisami. Miewa ona niekiedy finały bar-
dzo patetyczne, choć również piano i pianissimo, miano-
wicie kiedy gość tych buduarów zamkniętych — skacze
potem ze „skały samobójców” w morze, wdarłszy się
przedtem (tramwajem można też) na owo orle dumne
gniazdo, gdzie rezyduje Jego Książęca Mość Ludwik II
dziedzic i syn Alberta I, twórcy słynnego muzeum oceano-
graficznego i znanego podróżnika.

Otóż wśród tej cichej muzyki, której ton nadają Anglicy
i krupierzy, siedzą lub po hamletowsku błądzą — w tym
wypadku można przecież powiedzieć: i po kordjanowsku,
ze względu na wielką ilość Violetti — ciekawe zaiste grupy
i jednostki.

Przeważają wśród nich głębocy myśliciele i statysci, jako
że siedzą przy stołach po kilkanaście godzin z rzędu
i skrzętnie obliczają statystykę numerów wyrzucanych
przez ruletkę. Przed każdym z nich dużych rozmiarów
karnet i kolumn cyfr „rouge et noir”. A dokoła nich sto-
jąca galeria mniej systematycznych „systemiarzy” — tu-
tejsza ich nazwa w kolonii polskiej. A dokoła tej galerii
trzecia, już przeważnie z ciekawskich złożona lub z tych,
co nie mają odwagi zdeklarowanej i grają tak tylko „na
chybciaka”. A wokół stołów, gdzie stawka na ruletkę jest
skromniejsza, — trafia się niekiedy i jakiś zgrzyt lub za-
czętek sporu. To jedna z pań, które przestały już być czyn-
ne w sferze ogólnoludzkich namiętności, przez pomyłkę
sięgnęła po nie swoją wygraną. Takich pomyłek zdarza się
wiele. Ale wytrawni krupierzy, stróże porządku i przystoj-



MOTYW Z MONTE CARLO

ności, z łatwością uciszą wzburzone flukta, i koncert odbywa się w dalszym ciągu.

Najspokojniej jest przy stołach z „trente et quarante”. Tutaj i stawka jest znaczniejsza i gra mniej popularna, jako że będąca kombinacją stołu ruletkowego z kartami.

Inne narody — poza Anglikami — dopuszczane są także do domu gry, to znaczy: do kasyna. Więc się spotyka kilka znanych osobistości z Włoch, z Wiednia, a także z Warszawy. Na niektórych z nich ciąży jakiś chroniczny zadawniony smutek jubilatów, którzy tu strawili życie i kilkanaście wygranych już fortun. A przy każdej sposobności opowiada się o owym Polaku, co to kiedyś przed wojną rozbił w baka bank, tak że bank przywdział żałobę i zawiesił swą czynność na dwadzieścia cztery godziny — i jak potem tenże szczęśliwiec wszystko to szczęście przerzucił na nowo, a kupione kamienice — sprzedał i został „na czysto”. I o pewnych książętach się opowiada, których tu, w nagrodę za gruntowne obłuskanie ich ze złota — uczczono, nazwiskiem ich mianując niektóre ulice.

A ta oto starsza siwa dama, niewątpliwie wytworna i dystygowana, to jedna z członkiń rodu Rotszyldów, wcale nie zrujnowana i tylko nieuleczalny gracz. Spędza tu wiele godzin. Służba ma dla niej pietyzm, pani ta bowiem miała dawniej zwyczaj, że za podanie płaszcza dawała 100 franków. Dziś poczyniła podobno oszczędności.

Ta znowu inna, błędząca dokoła stołów widmowo, znacznie starsza jeszcze, w skromnym kostjumie nieokreślonej mody, w kapelusiku płaskim dziwnego typu, prawie jak z „Rycerskości wieśniaczej” lub „Pajaców”, — to żywa, melancholijna legenda — ongi faworyta króla Wiktora Emanuela, „il re galantuomo”. Czasami gra, lecz najczęściej pomaga paniom z arystokracji w uświadamianiu ich co do sposobów wygrywania na pewno. Tem zasila skromne dożywocie, które jej wypłaca rząd włoski. — Oh, la tristesse de tout cela.

Tu znów wkroczyła falanga smokingów i dekoltów — to towarzystwo wraca z opery — ślicznego klejnotu, sąsiadującego z ruletką o ścianę. Dawano „Demona” Rubinstein — brrr!

A za nimi ukazało się trochę gwiazd męskich i żeńskich, śpiewaków i tancerzy. To są już przeważnie tylko widzowie. A na chwilę tylko ukazał się mocarz współczesny i koryfeusz tańca, żelazny organizator, ulubieniec scen, Diagilew, twórca jednej z trup baletu rosyjskiego. Mówić o nim i o jego talencie na tych łamach szerzej byłoby właściwie nietaktem względem „Pani”, nie lubi on wogóle pań, a ma uznanie, sięgające głęboko, dla panów. Dlatego to żadna z tancerek, choćby najpiękniejszych, ulubienicą jego zostać ani wybić się nie może. Efebowie natomiast mogą zawsze liczyć na jego miłość. Jest to w „świecie artystycznym” tajemnicą — poliszynela.

Innych figur już wam pokazywać nie będę. Zaciągnę raczej na spacer, na przejażdżkę. Warto przecież zobaczyć to niedalekie Beaulieu sur mer, całe obwieszone festonami i girlandami kwiatów, albo przylądek Cap d'Ail, z wielkim luksusowym hotelem dla Anglików, albo dziki już prawie las oliwny, z wszystkimi pniami, rozdartymi jakby od piorunów — w Cap Martin, gdzie siedzisz uroczym i neapolitańskim w kawiarni, zwisającej nad głębiną morską, albo na wyżynie Turbii, skąd cała zatoka Ljońska demonstruje swe górskie brzegi i błękitne bezmiary.

Albo spacerujemy sobie poprostu po drogach, wśród ogrodów pomarańczowych, cytrynowych (pomarańcze tutejsze jednak są kwaśne, jak twarze wychodzących z kasyna), albo po miasteczku Monaco; albo po przystani, którą założyć miał ni mniej ni więcej, tylko Herkules po wytopieniu bandytów Gerjona (Portus Herculis), albo wraz z osłem i mułem „szukajmy w chmurach drogi” nad skrajami przepaści, albo — o ile, oczywiście, pozwolą na to istotni panowanie Riwieri — Anglicy...

Cezary Jellenta.



SALON CZ. GARLIŃSKIEGO

WYSTAWA WACŁAWA HUSARSKIEGO (FRAGMENT)

Fot. St. Brzozowski

HUSARSKI I WĄSOWICZ

W przeciągu trzech tygodni popularny lokal Czesława Garlińskiego przy ul. Mazowieckiej zasługiwał na nazwę Salonu w dosłownym znaczeniu tego wyrazu: zamiast jednostajnego szeregu płócien, który, przy największej nawet wartości eksponatów, czyni zawsze wrażenie pewnej sztywności, lokal wystawowy zamienił się w wytworne, ze smakiem urządzone wnętrze, mieniące się połyskiem porcelanowej polewy i blaskami jedwabiu, nadając w ten sposób znaczenie plan dekoracyjnych również i obrazom, rozwieszonym wśród talerzy, malowanych makat i barwnych haftów.

Ten nowy zupełnie stosunek Husarskiego i Wąsowicza do zagadnienia malarskiego skłonił nas do zadania im kilku pytań, na które odpowiedzieli nam artyści następującym listem:

Szanowny Panie Redaktorze:

Zapytuje Pan, co skłoniło nas do urządzenia wspólnej wystawy, i czemu przypisać należy, że wystawa ta pomimo tak

wyraźnej różnicy naszych temperamentów malarskich, czyni wrażenie harmonijne i jednolite?

Zdaje się, że i pierwsze i drugie zapytanie znajduje wyjaśnienie we wspólności naszych poglądów na zadania sztuki. W częstych naszych rozmowach zastanawialiśmy się niejednokrotnie nad tem, dlaczego zatraciła się dziś istotna łączność pomiędzy sztuką a publicznością, która na obraz spogląda, jako na coś oderwanego, jako na pewnego rodzaju abstrakcję, mało mającą wspólnego z życiem. Sumiennie rozpatrzywszy sprawę, doszliśmy do wspólnego wniosku, że wina leży nie tylko po stronie publiczności, niedostatecznie wrażliwej na piękno, ale i po stronie artystów, którzy w twórczości swej za mało uwzględniają potrzeby życiowe. Każdy, chociażby mniej nawet kulturalny człowiek, pragnie estetycznego otoczenia. Należy wprowadzić piękno do przedmiotów codziennego użytku, należy ułatwiać obcowanie z niem i korzystanie zeń. Talerz do



W. HUSARSKI

Rys. E. Głowacki



SALON CZ. GARLIŃSKIEGO

WYSTAWA WACŁAWA WĄSOWICZA (FRAGMENT)

Fot. S. Brzozowski

owoców, serwis do kawy, cache-pot, z którego zwieszają się kwiaty, są przedmiotami ogólnego użytku, z którymi łączy się przytem poczucie przyjemności; sztuka ma tu więc przed sobą wdzięczne zadanie. Człowiek dzisiejszy, często zmieniający miejsce pobytu, przywiązuje się jednak do otaczających go dzieł sztuki. Należy dać mu je w formie, nadającej się łatwo do przenoszenia i przewożenia, a tkaniny, makaty malowane spełniają doskonale to zadanie i dlatego właśnie tak były rozpowszechnione wśród narodów, miłujących piękno i w epokach o wyższym poczuciu estetycznym. Za typowe przykłady uważamy Japonję, gdzie obrazy z reguły malowane były na jedwabiu do zwijania na wałek, oraz epokę baroka, kiedy oprócz kosztownych tapisarij produkowano w znacznych ilościach przenośne makaty tkane i malowane.

Takie są założenia praktyczne naszych poszukiwań dekoracyjnych; na równi z niemi wziąć należy jednak pod uwagę względy czysto artystyczne. Niejednokrotnie spostrzegaliśmy obydwa, że czujemy się najlepiej,

kiedy mamy przed sobą do udekorowania pewną określona formę i płaszczyznę, kiedy materiał, kształt, użytkowość wreszcie, narzucają nam pewne konieczności. Wrodzone człowiekowi poczucie celowości znajduje tu właściwy swój przedmiot.



W. WĄSOWICZ

Rysował dla rekwizycji Pani E. Głowacki

Zaputuje nas Pan przytem, jakie są nasze plany na przyszłość. Jak się łatwo domyśleć, marzymy o rozszerzeniu i rozpowszechnieniu naszej działalności. Niestety, próby i doświadczenia pokazały nam, że dla spopularyzowania tej gałęzi sztuki nie możemy liczyć ani na ambicję fabrykantów, ani na pomoc rządu. Dogorywający Wiedeń zdobył się, co prawda, na wznowienie czynności swej słynnej państwowej fabryki; zdobyła się na to nawet Rosja sowiecka, nie zanosì się jednak bynajmniej na to, by rząd nasz pomyślał o wznowieniu zakładów belwederskich, których wyroby stały niegdyś tak wysoko. Wobec takiego stanu rzeczy wolimy liczyć tylko na inicjatywę prywatną i — na własne siły.

Łączymy serdeczne uściski dłoni.
Wacław Husarski, Wacław Wąsowicz



Suknia i płaszcz z czerwonej wełny, spód płaszcza i suknia ozdobiona plisami z materiału w czerwono-białe kraty.

Suknia i płaszcz z materiału „Kasha”, koloru „verte amande”, naszyta granatowe, podwójny pasek ze skóry granatowej.

Płaszcz z granatowej tafty, falbana w składane faldy, naszyta i kamizelka z białego rypsu, guziczki granatowe.

SEZONOWE METAMORFOZY

Niby zdaje się, że wszystko jest tak jak było i że wszystko co jest już było, a właśnie myli się tem nieznosnie kraczący i zatruwający ród każdej nowości, Ben Akiba.

Bo nowości w obecnej modzie wiosennej jest huk i najwidoczniej ten starozaconny filozof nie znał się zupełnie na tej branży.

Spójrzmy bowiem przedewszystkiem na podszewkę. Nie jest ona już jak dawniej jednobarwna lub wielobarwna i tylko czasem złotym rąbkim się odsłaniająca, ale śmiało dziś ujawnia światu całe bogactwo ornamentacji wymyślnie naszywanej i hafowanej. Nastąpiło jakby przewartościowanie wartości, bolszewickie wywrócenie podszewką na wierzch, albo co najmniej demokratyczne zrównanie spodu z wierzchem.



Kapelusz z lśniącej granatowej słomy, z boku nisko upięta róża Maréchal Nil

Suknia biała z krepdeszyny, płaszcz otwarty z rypsu koloru geranium i tegoż koloru pas zamszowy



Kostjum z wełnianego materiału w dwóch odcieniach koloru brązowego. Spódnica, kołnierz i potrójny pasek w kolorze ciemniejszym



Drugą nowością jest żabot. Powrócił, zaniedbywany przez długie lata, zabielił się znowu „piana” koronki i pyszni się tem, że podnosi efekt sukni, czy żakietu, że upiększa i dodaje blasku cerze.

Wogóle „biel” jest modna, czy to jako pensjonarski kołnierzyk i mankiety, czy też jako kamizelka, lub plastron niby koszula frakowa. Do tego oczywiście niezbędna jest krawatka, guziczki gęsto naszywane, udające skromność angielskiej bluzki.

Nowością jest także niebywała rozmaitość pasków, które mogą być podwójne, potrójne, szerokie i wąskie, spinane klamrą, lub guzem, zamszowe i lakierowe. Nie należy też zapomnieć o kieszeniach i kieszonkach.

A w tajemnicy narazie szepnę, że pasek zwolna zaczyna podjeżdżać do góry, zdążając wstydliwie do naturalnego stanu. Tak, syn marnotrawny powraca do rodzinnych stron, do miejsca, skąd uszedł, by innych szukać przygód i żywszych zaznać emocji. Pani zaś odzyska z powrotem swoje biodra i wróci do dawnego kształtu.

Prawda, ile nowości? Lecz, aby zupełnie oszołomić świat niewieści, dodam jeszcze kilka magicznych słów: klosz, godety fruwające, falbany, marszczenia, plisowania!

Została jednak krótka, ba i bardzo krótka spódniczka, ledwo co z pod żakietu widoczna, jakby się nagle zawstydzila swej kusości. Została też poniekąd i wysnukłość sylwetki, co jest zupełnie zro-



*Suknia z niebieskiej
wełny, haft koloru
vieil-or*



*Kostjum czarny weł-
niany, mały marszczo-
ny kołnierzyk, długi,
biały krawat*

*Płaszcz z czarnego
jedwabnego rypsu, ża-
boty z koronki lub
z krep-szyfonu*

*Suknia koloru pistacio-
wego, kołnierz i guziki
ciemniejsze w tym sa-
mym tonie*



*Suknia z rypsu wełnianego ciemno-
bronz, przód plisowany z krepdeszy-
nu jasno beige*

*Suknia-płaszcz granatowa, kołnierz
w kształcie żabola, naszyte na koł-
nierzu i pas czerwony*



zumiałe, gdyż nie przybiera się tak łatwo na tuszy. Po-
dobno międzynarodowe elegantki wyjadą tego roku na
kurację tuczającą, bo już w karnawale wolno, a nawet
trzeba się będzie pochwalić umiarkowanymi wdziękami.
Narazie jednak obowiązuje jeszcze... płaskość, obłudnie
ukrywana pod żabotami właśnie.

Kolor brązowy we wszystkich odcieniach i wszystkie
kolory pochodne od brązowego królują w tym sezonie.
Możnaby mniemać, że powróciła epoka... brązowa i że
wiek żelazny, ten krwawy, przez Owidjusza tak srogo
skrytykowany wiek przestał istnieć. Może cofając się tak,
dojdziemy wreszcie do wieku złotego, do „aurea etas”,
bo przecież Bogiem a prawdą wszyscy wzdychamy do...
złotego, choćby się nam tylko objawił w papierowym
banknocie.

Modny jest także kolor vert amande, pistacjowy, więc
wywołujący miłe gourmandowskie reminiscencje. Zaś cy-
klamen i geranium odcinają się jaskrawą plamą od sto-
nowanych barw i chętnie łączą się z kolorem białym,
czarnym i granatowym. Wogóle dwubarwność jest naka-





*Suknia ciemno-popielata,
naszyte pasy koloru czar-
nego. kołnierzyk i man-
kiety białe, żabocię z ko-
ronki*

*Plaszcz angielski koloru
piaskowego, obszycia na
szwach, kołnierzu i man-
kielach brązowe*

*Plaszcz fantazyjny z bia-
łego „kasha”, aplikacja
z czarnego jedwabnego
rypsu, kołnier — szal*



*Suknia z cerise krepdeszynu,
spódnica plisowana. Plaszcz
z czarnego jedwabiu, wysoki
kołnier z piórek w tonie
sukni*



zaną przez dzisiejszą modę, a taki „dualizm” ma swoisty wdzięk, czasem bowiem, gdy mu przyjdzie ochota, krzyczy trachę, a czasem znowu wpływa łagodząco na rozkrzyczane barwy.

Kombinowanie kolorów dotyczy także obuwia, które w tym sezonie pokryje się drobnym rysunkiem, szachownicą, paseczkami, albo pozwoli przez ażurki przeświecać jedwabnej pończosze, zawsze o ton jaśniejszej, a wraz z pantofelkiem dostosowanej do koloru toalety.

Uzgodnienie w stylu i barwie całokształtu stroju modnej pani dokonało się oczywiście łatwiej niż uzgodnienie polityki mocarstw, nie potrzebowała bowiem „gwarancji” trwałości mody. Wiemy dobrze, że traktat z nią zuwarty obowiązuje tylko przez sezon bieżący, a w następnym nowy projekt i nowe warunki nowej będą wymagać gwarancji. Nie bowiem trwałego pod słońcem, które inaczej świeci na wiosnę inaczej w lecie.

Rys. T. Gronowski

Nina



Plaszcz z materiału wełnianego w „szachownicę”, koloru złotego i ciemno brązowego. Mały kołnierzyk i żabot.



Typowe Londyńskie Guards Coat (zlewa) i Chesterfield (z prawa). Pierwsze nieco dłuższe na dwa rzędy. Kłapy szerokie. Lekkie wcięcie w stanie. Drugie nieco krótsze. Jednorzędowe kryte zapięcie. Kłapy mniejsze. Bez martengalu.



Palto podróżne z paskiem. Wielkie kieszenie. Kolory płaskowe i brązowe często w deseń (faux Isl)

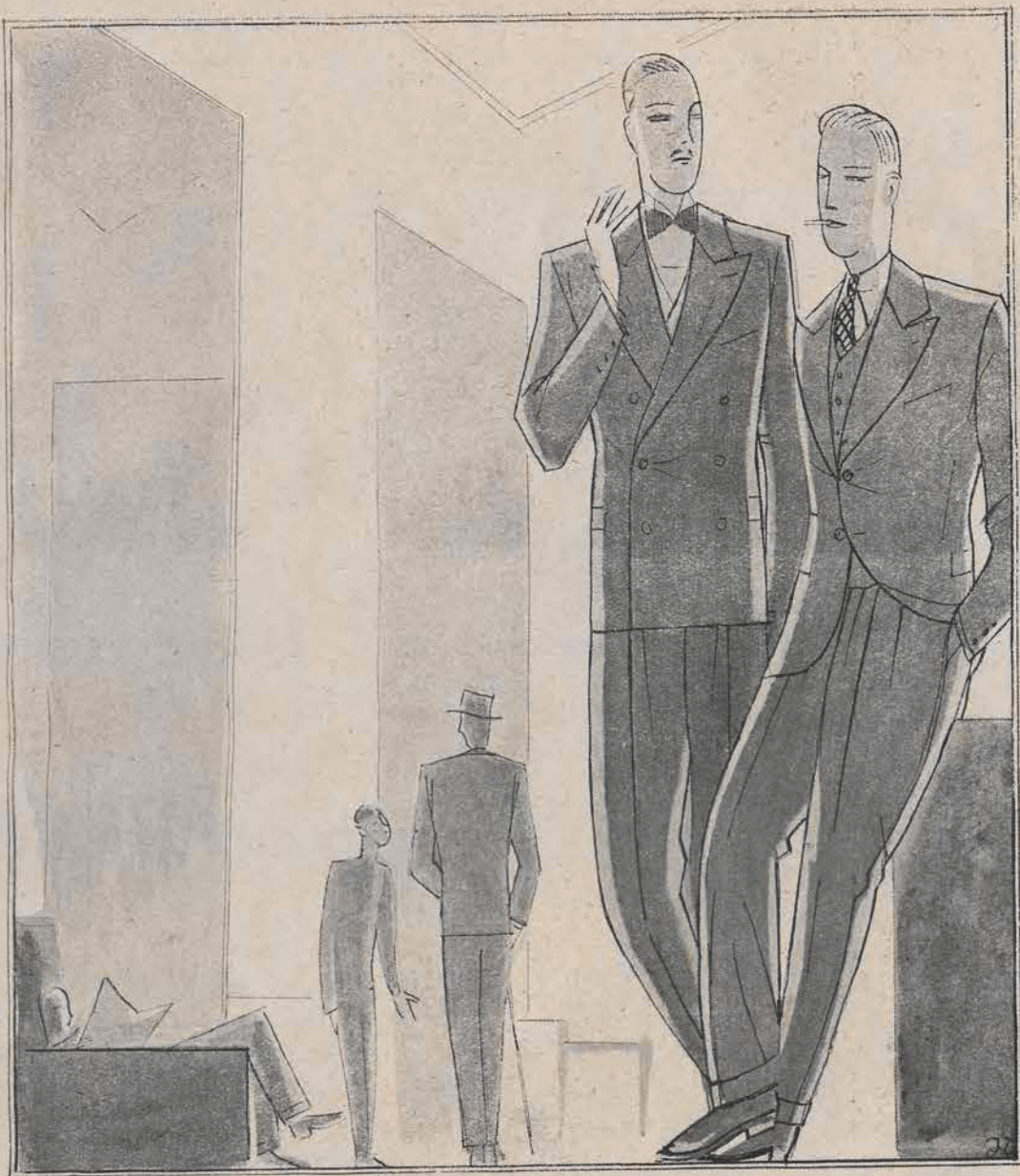
1925 WIOSNA

Drukowane w Berlinie i Lipsku żurnale mód męskich cieszą się dużym powodzeniem w zakątku Południowo Wschodnim Europy. Berliński hochstapler poucza Albańczyków i Kucowolochów dandyzmu. Co gorsza żurnale te noszące nazwy pseudo-angielskie mają też i w Warszawie pewne powodzenie. Mamy swoich Albańczyków jak się okazuje, i to nie mało. Zanim udamy się do krawca, nie zaszkodzi zapoznać się z tem, co nosi dziś Londyn, wyrocznia „high fashions” całego świata.

Ostatnie wiadomości z Londynu sygnalizują



Reglan z Burbury. Kryte zapięcie. Podszewka przypinana. Idealne na Wiosnę



Marynarki krótkie. Lekkie wcięcie. Plecy u dołu nieco węższe. Kłapy dość szerokie i nie za wysoko umieszczone. Spodnie szersze i dłuższe. Kolorem najmodniejszym jest obecnie szarobłękitny (blue gray). Wogóle szary i granat trzyma się nadal mocno. Desenie w kraty, krzyżówki i paski są bardzo noszone.

dalsze ciążenie do uproszczonego komfortu. Miasto i wieś, sport i bussines, brak czasu na przebieranie się—skłania gentelmanów do pewnego kompromisowego stylu ubrania, stylu, któryby nie raził na asfalcie miejskim i nie klócił się z tłem zieleni i nieba. Styl ten—*betwen-betwext*, jak go nazywają, polega na prostocie, wygodzie i bezpretensjonalności. Swoboda ruchów, lekkość, walory higieniczne (transpiracja i temperatura) i estetyka, wypływająca z doskonałości materiału i kroju, mającego swą opartą na tradycji i ostatnich wynalazkach logikę—oto główne dyrektywy mody dzisiejszej. Niema ona nic z „epatowania”. Niema ona nic wspólnego ze stylem naszych



„albańczyków”. Befszyk angielski z paryską przyprawą „la Garçonne” i berlińskim szlagsahne à la Bethman Hollweg, może smakować tylko gustom bardzo niewybrednym, albo bardzo zdegenerowanym.

Z całą pewnością można twierdzić, że linja mody męskiej zdradza tendencje reakcyjne. Wytworni gentelmani Londynu są dziś jak gdyby staromodni. Flanelowe szale szkockie, szerokie spodnie, krótkie marynarki—wszystko to już było. Zmiany polegają głównie na drobnych ulepszeniach, na pewnych akcentach, wyrażających się w milimetrach, a decydujących o całości. I w tej ostatniej modzie nie należy jednak przesadzać.

J. Zar.

TEATR A MODA

Grzesznica, uniewinniona przez autora, krytyków i publiczność, pokazała się nam w pierwszym akcie w niewinnej koszulinie, w poetycznych niebieskich i różowych kokardach, na białych koronkowych poduszkach i pod niewinną błękitną kołdrą.

Ta skala niewinnych barw była uzasadniona przyjacielską rozmową z rodzonym mężem i cały pokój sypialny tonął w symbolicznym kolorze przyjaźni — w błękitcie. Pogoda i zadowolenie ze stanu mał-



pyjanie można zarzucić nieco „nieforemne” spodenki, a natomiast trzeba pochwalić wielobarwną kurteczkę.

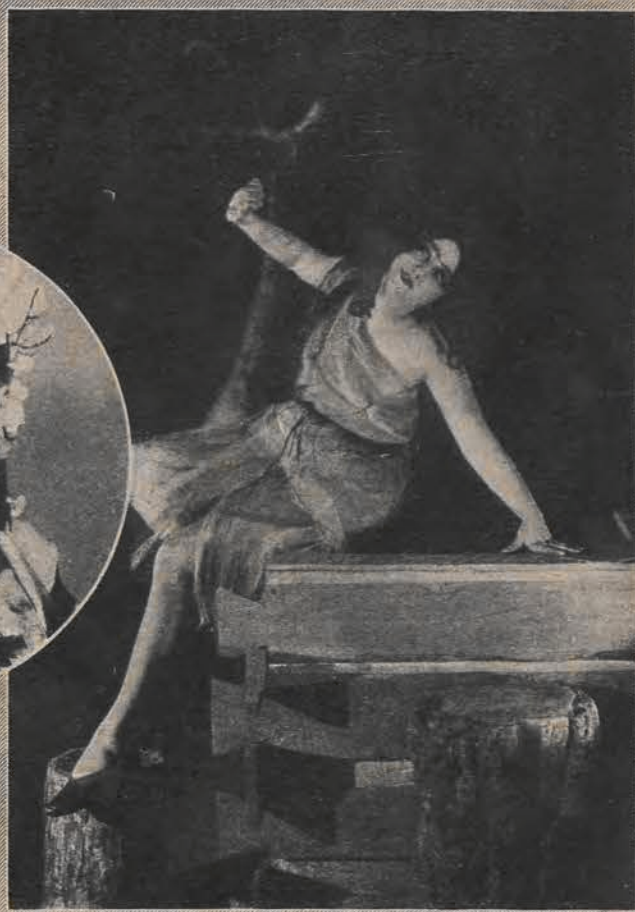
Zupełną niespodziankę zrobił akt trzeci, który miał nam, jakby się zdawało, coś do powiedzenia o t.zw. prawdziwej miłości. Więc to tak? — pytały, kształcące się na widowni panie — czy przyjaźni łóżko i koszula, dla „przygody” łóżko i pyjama, a dla miłości biurko, szafa z książkami, płaszcz biały, suknia biała i biały ka-

TEATR POLSKI

„DJABEL
I KARCZMARKA”



MARJA
MALICKA



MARJA MALICKA i WŁADYSŁAW GRABOWSKI

MARJA MODZELEWSKA

fat. St. Brzozowski

żeńskej polityki wyrażała się u p. Stanisławskiego solidną pyjamą, papierosem i nonszalancją przyjacielską, którą w ostatniej scenie przed zapuszczaniem kurtyny określić można łacińskiem: „festina lente”.

Akt drugi na atmosferę przyjaźni rzucił czerwone plamy róż. Abazury lamp obejmowały denerwującym mrokiem włamywacza do skarbcza miłości p. Leszczyńskiego i p. Przybyłko, której czarnej

pelusz z grzebieniem krossów? Dla miłości nieznosny telefon, drobinka likieru i uspokajająca czarna kawa?

Czyżby autor prawdziwą miłość zepchnął na ostatni akt i plan, nie wiedząc, co zrobić z tym fantem i jak ją unaocznic poglądowo i uprzystępnic szerokim, a łaknącym wiedzy, masom? A właśnie, na przekór autorowi, p. Węgierko zasługiwał tak bardzo na finał

pierwszego i drugiego aktu.

Erotyzm zapanował zresztą niepodzielnie we wszystkich naszych teatrach, z wyjątkiem Narodowego, gdzie ustępując wyższym mocom, uciekł biedaczek Eros, nibyszara przepióreczka, w proso, dokąd żadna z bosych i gołych diw operetkowych, baletowych i dramatycznych nie będzie śmiała za nim pogonić.

Inaczej dzieje się w Letnim, gdzie ze względu na nazwę teatru obowiązują „lekkie” suknie i „lekkie” sztuki. Schronił się tam, wygnany przez broszurę p. Ćwiklińskiej i sztukę Konczyńskiego, Eros, ten namiętny figlarz, lubujący się od niepamiętnych czas w w nagości, która dopiero w ostatnich czasach stała się chlebem powszednim i intranym dochodem teatrów warszawskich.

Jakże tu więc pisać o modzie w teatrze, gdy niema zupełnie sukien, a panie artystki ubierają się w to, w czym je Pan



Bóg stworzył? Kłopot jednak z tego tylko dla sprawozdawcy, bo Eros był nad wyraz rad i zamienił scenę w ogród, a liczne w sztuce Konczyńskiego niewiasty na przedsiębiorcze garçonki, które przez zapomnienie tylko obkleły się w greckie chitony i chlami dy, w dodatku tak kolowe, że nie tylko oburzyłyby się na ich widok czcigodna i skromna matka Spartanka, ale i pani Aspazja zawołałaby: „shoking!”

P. Ćwiklińska, wojownicza feministka w białym, czerwono haftowanym jumperze umie być odważną europejką na jachcie kołysanym przez burzę i dzielną władczynią w państwie niewiast, oraz zazartą mizoandrá, której znakomicie do twarzy w grecko stylizowanych szatach. Nosi też p. Ćwiklińska godnie dżadem i dzierży zamasyżację berło.

Ale Konczyński jest mimo wszystko, a więc także mimo baletu i całą „okropność” nocy miłosnej w gaju Djany —

TEATR MAŁY.
„NIEWINNA
GRZESZNICA”.



JERZY LESZCZYŃSKI
i MARJA PRZYBYŁKO-
POTOCKA.

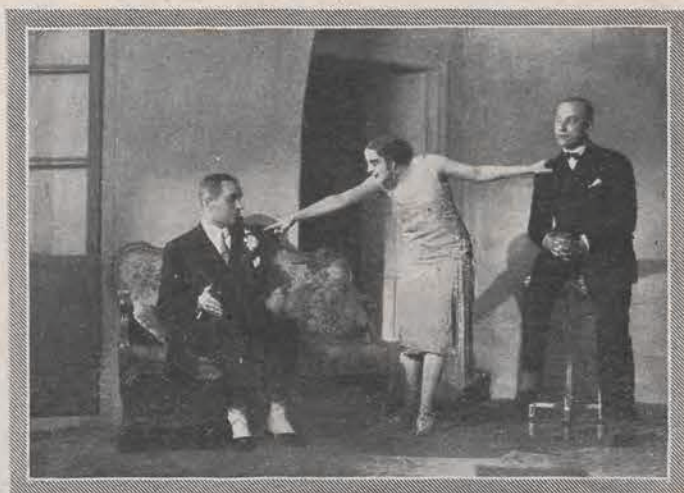
Fot. St. Brzozowski



Fot. St. Brzozowski

TEATR LETNI „WYGNANY EROS”

Od lewej ku prawej: T. Roland, Cwiklińska, Walter, Walewska i W. Roland.



Fot. St. Brzozowski

TEATR „SZKARŁATNA MASKA”

Różycki, Gorczyńska, Lenczewski.

umoralniający, gdyż z całym zaparciem się siebie propaguje jedno-
żeństwo i broni praw małżeńskiego sakramentu.

Za wyraźną wolą autora rzuci więc p. Cwiklińska czerwono białą
greczynę, w której się tak dobrze czuje, a wróci do jumpera włócz-
kowego i do męża. Podobnie uczyni i p. Walewska, zdejmie bo-
wiem z głowy „samowar” dowódcy straży jej królewskiej mości, by
włożyć z powrotem biały kapelusik i białą, modną kloszową suknię.
Nawet ex-królowa Safona, przeszedłszy fazy królowania, nagości
i poezji, przywyknie ostatecznie do klatki małżeńskiej.

I tak wrócą do łaski pp. Rolandowie i p. Walter, który zresztą ani
na chwilę nie stracił łaski w oczach publiczności, bez względu na to,
czy nosił białe inekspimable, czy
czy dobrze skrojony frak, „Wielko-
ści” jego żaden strój nie uczyni
ujmy

Moralność zwyciża również w
„Djable i Karczmarce” Krzywosze-
wskiego, choć autor waha się na
czyje bene rozstrzygać, czy diabłu
zapalić świeczkę, a karczmarce o-
garek. I przez sporą chwilę jest
dość krucho z cnotą p. Malickiej.
Ale p. Malicka i zdjablem da so-
bie radę, bo jej w niebieskim i zie-
lonym stroju karczmarki, w wian-
ku, czepcu, w gniewie i w całowa-
niu zawsze jednakowo dc twarzy.

A zresztą i niestety — p. Gra-
bowski był tak źle ubranym dja-
blem i tak źle przemawiał do ser-
ca karczmarki, że poniósł całko-
wicie zasłużone fiasco. Frak p. Gra-
bowskiego z lichej podszewkowej
brokateli i wymięty żabot był, zda-
je się, nie z piekła rodem, ale z pra-
cowni krawieckiej teatru. Djablice:
pp. Balcerkiewiczówna i Modze-
lewska w toaletach hrabin, w Gains-
borough'owskich kapeluszach robi-
ły reklamę piekła i ich powodzenie
nawet u leciwych mówców municy-
palnych jest najzupełniej zrozu-
miałe.

Kto zaś chce emocji, szału, hu-
moru i mody, niech prześpi noc w
„Szkarłatnej Masce”. Tam to po-
dziwiać może getry i świeżo z pod
igły wyszłe garnitury pp. Różyckie-

go i Lenczewskiego, tam też piękna p. Gorczyńska w wieczorowej su-
kni święci triumfy

Osobny tom można napisać o tuzinie toalet p. Niewiarowskiej —
Kleopatry, ale o tem znajdują czytelniczki i czytelnicy (tak, tak) spec-
jalną, nienal naukową rozprawkę w następnym numerze „Pani”.

A trzeba się będzie porządnie namozolić, więcej może, niż sama
p. Niewiarowska, która przebiera się co pięć minut, aby się wreszcie
zupełnie rozebrać.

Ale nie chcę uprzedzać faktów, które tu będą omawiane szczegó-
łowo i z zamilowaniem, o ile jakaś nowa, poświęcena premiera nie
zrobi Nowościom toaletowej konkurencji. Należy jednak przypu-

szczać, że Mały i Letni pozostanie
jeszcze dłuższy czas przy swoim
wielkopostnym, do skurczy nakla-
niającym repertuarze, a tylko Pol-
ski odzegna się od diabła i na
„Okręcie sprawiedliwych” powiezie
nas do raju.

Lękam się bardzo, że sprawied-
liwi pasażerowie tego statku nie
wiele okażą zrozumienia dla wy-
tworności szat i że trzeba będzie
z ponurą powagą przejść do po-
rządku nad tą, źle ubraną cnotą,
albo może właśnie cieszyć się, że
znowu zjawia się na scenie sztuka,
której prestiżu nie musi się ko-
niecznie łątać kolorowym gałgan-
kiem, tańcem i śpiewem.

Wiem jednak, że wielu widzów
na takich sztukach tęsknić będzie
do łóżka, tak, choćby do swego
skromnego, codziennego i własne-
go łóżeczka. Czyż jednak można
wszystkim dogodzić? Dyrektorzy
teatrów wiedzą o tem, jak to cięż-
ko i dlatego szukają ratunku w lek-
kich sztukach, te zaś ratuje Zmi-
gryder, Herse, Lucyna. Jest to więc
tak misterny łańcuch przyczyn
i skutków, że ktoby chciał w tej
sprawie „rozumem wszystkiego do-
chodzić i umrze i nie będzie umiał
w to ugodzić”. Więc chyba lepiej
nie dociekać i strategią repertuaru
naszych teatrów na tem miejscu się
nie trapić.



fot. J. Malarski

WYGNANY EROS

Irena Hryniewiczówna

Nina,



KLOTYLDA SACHAROWA

*„wcielony rytm, wcielona
radość życia” — tak o niej
mówi prasa angielska.*

Narcisse

Pani Lila wracała do domu obładowana różnymi paczkami. Gorący asfalt bulwarów paryskich, rozżarzony słońcem prażył jej wprost stopy, powietrze, przesiąknięte kurzem ulicznym i wyziewami benzyny, dławilo. Mimi upału wszystkie ulice przepełnione były tłumami spacerującej publiczności, odświeżone przybranej. Był to dzień 14 lipca, dzień święta narodowego.

Pani Lila tylko z trudem precisnąć się mogła przez te tłumy rozbawionej, rozgorączkowanej, hałaśliwej gawiedzi ulicznej. Od czasu do czasu środkiem ulicy przeciągały pochody z muzyką, sztandarami, allegorycznymi postaciami, przybranymi w stroje historyczne, witane owacyjnie okrzykami i oklaskami przez tłumy publiczności. Powietrze całe drżało od dźwięków Marsyljanki, granej ustawicznie przez różne przechodnie orkiestry, śpiewanej i nawet gwizdanej przez publiczność.

Na rogu jednej ulicy tłum stał zbity tak gęsto, że pani Lila mimowoli musiała się zatrzymać. Spostrzegła wtedy, że stoi przed jednym ze sklepów sławnej fabryki perfum Guerlain'a. Widok eleganckiej i gustownej wystawy, przybranej rzędami artystycznych flakonów, ulubionej przez nią firmy, wzbudził w niej nagle chęć kupienia sobie perfum.

Pani Lila nie wahała się długo i weszła do perfumerji. Usłużny subjekt zaczął jej znosić całe stopy rozmaitych większych i mniejszych flakonów wszelkich gatunków perfum. Pani Lila była jednak niezadowolona, dziś wyjątkowo nie dogadzał jej zapach żadnych z tych perfum.

— Chciałabyś coś Coty!

Subjekt spojrział na nią zgorzonym.

— Jakto Coty? Przecież my jesteśmy filją perfumerji Guerlain i mamy na składzie jedynie perfumy własnego wyrobu.

Pani Lila była zdenerwowana. Cóż na to poradzić może, że właśnie w tej chwili chciałaby mieć perfumy Coty, których do tej pory nie znosiła.

Kto jej może tego zabronić? Co za idjota ten subjekt, a tu wyjść ze sklepu nie sposób, bo straszny tłum na ulicy. Pani Lila miała niekłamano ochotę rozbić największy flakon (ten w formie starożytnego ampuły) na łysej głowie nieszczęsnego subjecka. Bo też jak można mieć taką wstrętną, nieapetyczną łysinę, pokrytą kropelkami potu!

— C'est dogoutant — powiedziała głośno.

Symbol nie został prawdopodobnie zrozumiany, jednakowoż subjekt, jakby przeczuwając zamach grożący jego nieszczęsnej łysinie, schronił się pod ladę, skąd po chwili wydobyl z tajemniczą miną nowy flakon perfum, w eleganckim etui.

— Ostatnia nasza kreacja — Narcisse — rzekł uroczyście. — Jestem przekonany, że się pani spodoba, proszę spróbować.

— Nie znoszę zapachów kwiatowych — rzekła pani Lila.

Mimo to jednak, jakby bezwiednie wciągnęła niesłychanie subtelną woń perfum, ulatniającą się z otwartego flaconu. Perfumy były arcydziełem w swoim rodzaju, wydawały się skoncentrowaną wonią całego ogrodu, pełnego białych narcyzów.

— Perfumy te wybornie się harmonizują z zapachem włosów blondynki — objaśnił dalej poważnym tonem rzeczoznawcy niezmordowany subjekt.

— Pani pozwoli? — zapytał i, nie czekając odpowiedzi, przygotowanym małym rozpylaczem skroplil perfumami wymykające się z pod kapelusza włosy pani Lili.

Pani Lila była niespodziewanie zadowolona — perfumy podobały się jej. Uśmiechnęła się uprzejmie i zaczęła sobie flakon zapakować. Znalazła wtedy, że subjekt ma bardzo miły uśmiech i że nawet... nie jest tak bardzo łysy.

Na ulicy tłum tymczasem zrzedniał tak, że pani Lila mogła już bez żadnych dalszych większych przeszkód pójść dalej.

— Dobry wieczór pani — usłyszała nagle obok siebie.

Młody człowiek w popielatym garniturze stał przy niej, miętosząc w rękach kapelusz panama.

— Ach to pan Władzio! Dobry wieczór panu.

Z uprzejmym uśmiechem podała mu rękę, którą młody człowiek namiętnie przycisnął do ust.

Przysumiennym wykonywaniu tej trochę zbyt długo trwającej czynności upuścił nieszczęsny kapelusz swój na ziemię, czem widocznie się skonfundował.

Tymczasem pani Lila wciąż z czarującym uśmiechem wręczyła mu swoje wszystkie paczki.



— Pan mi pomoże? Taka jestem strasznie zmęczona! — odezwała się, obrzucając go powłóczystym spojrzeniem.

— Lecz idźmy dalej, tu tak duszno — dodała po chwili.

Skręcili w boczną ulicę i weszli do parku Monceau. W parku było chłodniej i w porównaniu z ulicą pusto. Usiedli na ławce, w miejscu zacisznym, pod dużym rozłożystym platanem. Słońce tymczasem zachodziło i park cały tonął w blaskach purpurowych, przetykanych złotem. Dokoła było pusto. Zdała tylko dochodził przytłumiony gwar ulicy i jakieś wesole okrzyki bawiących w parku dzieci, tuż przed ławką kąpały się w piasku dwa wróble z głośnym świergotem.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, od pewnego czasu znikł pan zupełnie z horyzontu, — powiedziała nagle pani Lila.

— Byłem dziś właśnie przed chwilą u pani...

— Był pan u mnie? Czemu zawdzięczać mogę tę niespodziewaną wizytę?

— Chciałem się z panią pożegnać...

— Pożegnać? Skąd takie rozpaczliwe zamiary?

— Opuszczam Paryż w tych dniach i wracam do kraju.

— Tak bardzo już panu Paryż dokuczył? Czy też to może zwykła nostalgia?

Młody człowiek spojrzał na nią smutnie.

— Pani dobrze wie, jak ciężko mi będzie stąd wyjechać. Lecz trudno, tak się okoliczności złożyły, że nie mam już powodu dłużej tu przebywać. Skończyłem wreszcie moją nieszczęśliwą filozofję i właśnie w zeszłym tygodniu dostałem dyplom.

— A brawo! gratuluję panu. Nic o tem nie wiedziałam, wieki całe nie byłam tam u was. Niech mi pan opowie, co tam zresztą słyhać nowego w Quartier latin?

Ukończony filozof był tego dnia, wzorem wszystkich mędrców, stanowczo dziwnie roztargniony. Wyraźne to roztargnienie skupiało się w pierwszej linii na zupełnie niewinnym kapeluszu panama, który szarpany wciąż, gniewiony i skubany na wszystkie strony, zaczął powoli przybierać fantastyczne i nieprawdopodobne kształty, niepodobne do przeciętnego okrycia głów filozofów.

Pani Lila patrzyła na tę dziwną operację z przerażeniem.

— Niech pan lepiej zaprzestanie tego dzieła zniszczenia — odważyła się wreszcie.

— Zapóźno proszę pani... — odrzekł filozof ogromnie tragicznie.

— Dlaczego zapóźno?

— Zniszczyłem już i zламаłem... moje życie i szczęście!

— Ależ ja mówiłam o pańskim kapeluszu...

— Pani w głowie żarty...

— Narazie tręska o pańskie panama...

— A ja pani Lilo chciałbym pomówić z panią całkiem poważnie.

— Zaczynam się więc nastrajać okropnie poważnie...

Tymczasem pan Władysław uznał za stosowne włożyć pogięty kapelusz całkiem prozaicznie na głowę, a natomiast przywłaszczył sobie ze stoickim spokojem i filozoficzną obojętnością japońską parasolkę pani Lili i zaczął nią kreślić na piasku jakieś kabalistyczne znaki. Tym razem Pani Lila zaniepokoiła się na serjo.

— Miał mi pan przecież powiedzieć coś bardzo poważnego. Czekam... — odezwała się wreszcie, chcąc odwrócić jego uwagę od zagrożonej parasolki.

Napomnienie to odniosło istotnie skutek pożądany, gdyż pan Władysław, wykonawszy parasolką niesłychanie zawile i pomysłowo skombinowane desenie na piasku, przerwał teraz swoją zbożną pracę.

— Pani się nie domyśla? — zapytał tonem zdumionym człowieka, który się dziwi, że ktoś nie słyszał nigdy np. o teorii wolnej woli Schopenhauera.

— Nie, nie domyślałam się...

— Tak, bo pani jest obojętnym cudze cierpienie!

— Ależ panie Władziu!

— W tem leży tragedia mego życia!

— Nie rozumiem pana.

— Czyż pani o tem nie wie, że... że... panią kocham?

— Nie, nie wiem...

— Kocham panią przecież tak dawno już! Nie ośmieliłem się tego pani nigdy może powiedzieć, ale miałem nadzieję, że pani przeczula tajemnicę mego serca... Pani Lilo, słońcem jest pani mego życia, jedynym pięknem, jedyną radością...

— Panie Władysławie, proszę przestać!

— Kocham panią...

— Nie mam ochoty słuchać dłużej pańskich zwierzeń, w które zresztą nie wierzę... Żegnaj pana.

— Pani Lilo... proszę się nie gniewać... jeszcze tylko chwilę... przecież ja wnet wyjadę...

Pani Lila spojrzała mimowoli na niego i dostrzegła wtedy w jego oczach łzy, bynajmniej nie filozoficzne, ale takie szczere, naturalne, młodzieńcze łzy.

Twierdzenie, jakoby łzy były wyłącznym przywilejem i jedną z najbardziej skutecznych broni kobiety, jest już stanowczym anachronizmem. Łzy dorosłego mężczyzny działają zawsze właśnie na kobiety.

Pani Lila przysunęła się bliżej do niego.

— Tak nie trzeba, nie trzeba, panie Władziu — powiedziała miękko i łagodnie.

Włosy jej wonne narcyzami musnęły go lekko w skronie, ramię oparło się jakby bezwiednie o jego ramię.

— Niech mi pani przynajmniej nie zabrania panią kochać... przecież to szczęście jedyne moje... — mówił namiętnie i z patosem.



— Ach! nie przypuszczałam, że z pana taki romantyk — zaśmiała się wesoło.

Równocześnie jednak wstała i przybrała nagle poważny i uroczysty wyraz twarzy.

— Niech mnie pan odprowadzi do domu — poprosiła.

Filoozf zerwał się z ławki gwałtownie i ofiarował jej swoje ramie. Pani Lila mieszkała w pobliżu parku, w jednym z licznych tu „pension de famille”. Szli przez cały czas w milczeniu, wybierając małe boczne uliczki. Przed bramą pensjonatu przystanęli na chwilę.

— Więc kiedy pan wyjeżdża?

— Prawdopodobnie pojutrze — odpowiedział smutnie młody człowiek, tak jak gdyby chciał wyznać, że pojutrze zastrzelili się z wielką pewnością, o ile tylko mu jeszcze wystarczą przysłane z domu pieniądze na kupno rewolweru. Jednocześnie utkwiał wzrok ponury w końce swoich nowiutkich, żółtych amerykańców, pograżywszy się w kontemplacji filozoficznej nad tragedją nieubłaganego fatum, które z całą okrutną bezwzględnością sprawiło, iż pozostało mu tylko 150 franków w kieszeni. Tymczasem jednak pani Lila podała mu rękę na pożegnanie.

— A więc do miłego i prędkiego widzenia się, zapewne już w kraju — powiedziała uśmiechając się czarująco.

Pan Władysław skłonił się w milczeniu, pocałował ją w rękę, poczem odwrócił się nerwowo i zapomniawszy się uklonić, poczał pośpiesznie iść, a raczej biec przez ulicę.

Mimo mroku pani Lila dostrzegła znów błysk łez w jego oczach.

Ach! Te łzy, te łzy!

Lecz pani Lila ze zdziwieniem przekonała się, że i oczy jej nagle zaszyły łzami i łzy te całkiem bezkarnie zwilgotniły jej policzki, jakiś dziwny kurcz chwycił ją za gardło i dławił, dławił...

— Panie Władziu! — krzyknęła w pustą ciemną ulicę.

Młody filozof był jednak już daleko.

Pani Lila zaraz po obiedzie wróciła do swego pokoju i postanowiła dziś już nigdzie nie wychodzić. Nie zapalała lampy, blask latarni ulicznej oświecał tylko pokój.

Przez otwarte okna płynął gorący, podniecający jak szampańskie wino, podmuch nocy lipcowej, nocy paryskiej. Każdy atom powietrza drżał od tajemnego pragnienia, od jednego westchnienia rozkoszy. Zdawało się, że nad miastem całem unosi się jeden jedyny miłosny szept, który burzy krew i dziwnym dreszczem przejmując.

Noc paryska, noc rozkoszy, noc miłości zawładnęła miljonowem miastem. Przytłumiony gwar uliczny, wesołe okrzyki świętujących, a obecnie już dobrze podochoconych tłumów, dźwięki wciąż granej marsy-

ljanki płynęły zdala. A ponad wszystkim, jakby w dobrze zgranej orkiestrze, górował jeden ton, jeden główny motyw, znanej piosenki granej niewiadomo gdzie: „Non tu ne sauras jamais...”

Pani Lila powoli, automatycznie rozebrała się, rozpuściła złotoblonde włosy i stanęła przy otwartym oknie. Oddychała przed chwilą głęboko upojnem powietrzem, przymknawszy oczy. Gorące tchnienie płynące z miasta całowało jej nagie ramiona, jak czyjeś usta płomienne. Pani Lila czuła, jak stopniowo jakaś dziwna niemoc przygniata ją ku ziemi, przez plecy i ramiona przechodzi dreszcz raz zimny, raz gorący, płomień rozpala twarz. Cienka, batystowa koszula zdaje się jakimś ciężarem nieznośnym, gorącym. Zdarła ją gwałtownie, rzuciła się naga nieprzytomnie na łóżko, ukryła w płaszczu rozpuszczonych włosów rozpaloną twarz.

Przedziwny zapach białych narcyzów poczuła wtedy niespodziewanie, jakby powiew letniej nocy przyniósł gdzieś zdala woń ogrodu, pełnego narcyzów. Jakby mgła subtelna utworzyła się z tej woni, a w niej zamajaczała nagle jakaś znajoma twarz... Ach! to pan Władzio!

Jakie cudne ma usta, takie dziwnie różowe i jako narcyzy wonne...

Ogarnął ją nagle żal...

Dlaczego była dla niego tak zimna i tak niedobra! A on ją przecież kocha, tak strasznie kocha! I takie usta ma piękne! Biedny Władzio!

Oto pochyla się nad nią i całuje ją... Czuje rozkoszny, ognisty stygmat jego ust... Lecz cóż to się stało? Przecież Władzio ma oczy błękitne jak lazur nieba, jak głębie morza... Zna je dobrze. I włosy jasne jak len...

A teraz oczy jego czarne i otchłanne jak noc, płomienne i gorące jak słońce... I włosy faliste, jako heban ciemne...

Pani Lila podnosi się gwałtownie i rozgląda dokoła. Serce bije jej niespokojnie, zdaje się rozsadzać piersi. Z rozchylonych przepięknym uśmiechem jej ust wydiera się nagle głośnie zapytanie:

— Dlaczego masz oczy... czarne? Kto ty jesteś?

Dokoła cisza, pokój cały zapelnia coraz silniejsza i coraz bardziej odurzająca woń narcyzów. Wydaje się pani Lili, że tysiące narcyzów spada na jej piersi nagie i każdy tak bardzo podobny do... jego ust!

Dlatego z ulicy dochodzi refren piosenki, jakby w odpowiedzi na jej pytanie:

„Non, tu ne sauras jamais...”

Pani Lila przyryka oczy.

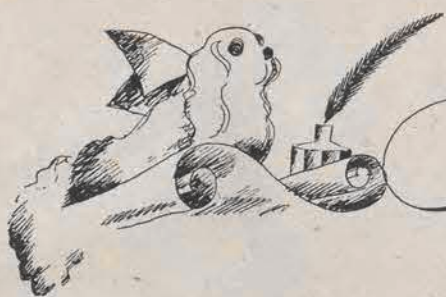
— Pójdź — szepeczą całkiem bezwiednie jej usta i wyciągają się drżące, spragnione ramiona.

Od tej pory pani Lila używała stale perfum „Narcisse”.

Rys. K. Mackiewicz.

HENRYK ŁUBIENSKI





Kwartnik Pami

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę Szanownych Czytelników na okładkę niniejszego numeru. Wykonał ją Bruneleschi, jeden z najświetniejszych grafików Paryża.

sztuka

Zofia Stankiewiczówna otworzyła wystawę prac swoich w ruchliwym Salonie Cz. Garlińskiego. Na wystawę złożyły się obrazy — przeważnie pejzaże, wśród których większość

ne tony akwatintowe posiadają istotną głębię, a linia igły akwafortowej jest subtelna i wyrazista. Są to wzorowe dzieła klasycznie pojętego kwasorytu. Większą ich część stanowią widoki starych dzielnic Warszawy, Krakowa i Wilna.

muzyka

Dyrekcja Opery wkracza powoli na normalną drogę tworzenia repertuaru; uprzytomniła sobie nareszcie, że jeżeli już dokładać — to przynajmniej do rzeczy dobrych. Zrozumiała, że szukanie gustu publiczności, która sama sobie sprawy dobrze nie zdaje, co jej się podoba — jest najryzykowniejszą drogą, po której żadną miarą dyrekcja stołecznej Opery kroczyć nie powinna.

Również mogła się dyrekcja przekonać, że z temi siłami artystycznymi, jakie posiada, może się zdobywać na najtrudniejsze przedsięwzięcia artystyczne.

Dowodem świeżo wystawiony „Don Juan” Mozarta. Było to przedstawienie nawskroś artystyczne. Różniło się ono nawskroś od dawnego „Don Juana” na tejże scenie. Dawniej było to przedstawienie dla jednego śpiewaka, nic nie wiadano o operze Mozarta, istniała tylko rola Don Juana. Jest to zasługa p. Dolżyckiego, że poszedł drogą, dawno wskazaną już, szczególnie przez Mottla w Monachjum, a potem przez Wiedeń i Stuttgart, gdzie Mozart jest takim samym problematem scenicznym i dramatycznym — i gdzie tak samo trzeba dbać o całość, jak i w Warszawie.

O ten zespół i jednolitość dbał p. Dolżycki i osiągnął go całkowicie.

W pierwszej linii należą się pochwały orkiestrze. Grała prześlicznie. Świetny ten zespół prowadzony był znakomicie przez p. Dolżyckiego. Wszystkie tempa były właściwe. Był rytm i życie.

Nie mniejsze pochwały należą się solistom. Wszyscy śpiewali i grali doskonale, nikt się nie wyrwał na pierwszy plan — nikt się nie popisywał — wszyscy dbali o całość. Jest w tem dużo zasług reżysera, p. Freszla.

Wreszcie słowa pochwały dla p. Drabika, którego główną zasługą jest to, że starał się problem dekoracji jaknajwięcej uprościć. Udało mu się to w zupełności. Dekoracje były piękne i proste w pomyśle.

St. Zmigryder.



KRAJOBRAZ CZERWCOWY

M. Rozbicka

stanowią widoki staromiejskie i Tatry, — oraz poważny, 54 numery liczący zbiór akwafort. W tej ostatniej technice wypowiada się artystka najzupełniej i najharmonijniej. Jej czar-



M. ROZBICKA

Józef Mieszkowski, którego wystawa odbyła się w Salonie Lewickiego, po kilkoletnich, nie zawsze celowych poszukiwaniach, wahających się pomiędzy secesją a źle zrozumianym kubizmem, odnalazł, jak się zdaje, właściwy swój kierunek. Ostatnie jego prace, pojęte w charakterze post-impresjonizmu, posiadają świeżość faktury i oryginalność obserwacji realistycznej, która pozwala jak najlepiej wróżyć o dalszym jego rozwoju. Nie wiem tylko, czy słusznem było obok udatnych prac ostatnich demonstrować publicznie wszystkie swoje dawne poczynania i pomyłki, posiadające wartość i znaczenie jedynie dla autora.

Mieczysława Rozbicka, wystawiająca w tymże Salonie, posiada wrodzoną łatwość techniczną, której nadużywa na razie celem pokrycia niedostatecznych pogłębień formy. Efektowna i łatwa technika akwarelca zdaje się być w obecnym stadium rozwoju artystki dosyć niebezpieczna, dając bowiem powierzchowne wrażenie zręcznie wypełnionej płaszczyzny obrazu, odrywa artystkę od poważniejszego traktowania zagadnień malar- skich.

Na wystawie stowarzyszenia *Pro arte* w Zachęcie wyróżniają się w sposób wybitny prace Kędzińskiego, z których zwłaszcza dziewczynka przy fortepianie zasługuje na uwagę z powodu niepospolicie świeżej techniki, oraz doskonałej obserwacji. Nowe poszukiwania kolorystyczne daje Ziomek w swym krajobrazie ze stawem. Inni członkowie stowarzyszenia nie wykazują zmian w stosunku do swej dawniejszej twórczości.

Osobne sale zajęły dwie wystawy pośmiertne: Wankiego i Majewskiego. Wankie, we wcześniejszych swoich pracach, daje dosyć osobliwe z historycznego punktu widzenia połączenie monachijskich tradycji krajoobrazowo-rodzajowych z nastrojowością, noszącą ślady wpływów Böcklina. Obrazy z okresu późniejszego są już tylko stereotypem i coraz gorszym powtarzaniem dawnej koncepcji. Majewski ukazuje się, jako uczciwy i sumienny akademik szkoły krakowskiej z przed laty dwudziestu — bez wyraźniejszej odrębności.

W. H.



KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI „PANI”:

JÓZEF CONRAD (Korzeniowski). „W oczach Zachodu”, Warszawa, E. Wende i S-ka.
JACK LONDON. „Wyga”, Warszawa, E. Wende i S-ka.
EDWARD KOZIKOWSKI. „Wymarsz Świerzców”, „Poezje Beskidskie”, Nakładem Czaśteka.
WACŁAW ZYNDRAK-KOŚCIAŁKOWSKI. „Odjazdy”, „Poezje”, Wyd. Art. „Południe”.

kino

— Rezultat głosowania zwolenników gwiazd filmowych w Ameryce był następujący: 1. Mary Pickford; 2. Pola Negri; 3. Alice Terry.

— Pola Negri rozpoczęła nowy cykl obrazów dla „Paramount” filmem „Forbidden Paradise”. Reżyseruje Ernest Lubicz.

— Jedną z największych gwiazd kinematograficznych, główną bohaterką „Czterech jeźdźców Apokalipsy” i „Romansu królewskiego”, Alice Terry, postanowiła z mężem swym, znakomitym reżyserem, Rex Ingramem zakończyć w najbliższym czasie karierę filmową. Najwybitniejszym obrazem ich jest dramat z czasów rewolucji francuskiej p. t. „Scaramouche”, obecnie pracują oboje w Afryce nad wielkim filmem egzotycznym „Arab”.

— Priscilla Dean od czasu opuszczenia warsztatu „Universal” zrobiła dwa nowe filmy: „Syrena z Sewilli” i „W kawiarni w Kairze”.

— „Madame Sans Gêne” będzie jednym z najciekawszych filmów Glorji Swanson, która pracuje teraz nad nim w Paryżu pod kierownictwem Leonce Perreta. Karol de Rochefort grał marszałka Lefèvre, a Daint — Napoleona. Zdjęcia odbywają się w Compiègne.

— Mae Murray ukończyła „Circe” podług powieści Blasco Ibanesa a obecnie rozpoczęła pracę w obrazie Ericka Stroheima, którego tytuł, ogólnie znany, brzmi: „Wesoła wdówka”.

— „Pan Beaucaire” — tak się nazywa ostatni film Rudolfa Valentino w którym stylowy kostium uwydatnia jeszcze bardziej jego urodę, wdzięk i elegancję. Po powrocie do Ameryki Valentino grać będzie w obrazie p. t. „Kobra”.

— Ostatnim filmem Sessue Hayakawy przed wyjazdem do Ameryki był obraz francuski p. t. „Ja zabiłem”.

— Ciekawym debiutem będzie występ Ivety Gilbert na ekranie; świetna diseuse kreuje rolę Zefiryny w „Dwóch malcach” podług Decourcelle’a. Partnerem jest Gabriel Signoret.

— Amerykańscy reżyserzy zaczynają interesować się staruszką Europą: D. W. Griffith w podróży swej po Włoszech badał warunki naturalne dla stworzenia wielkiego filmu p. t. „Ostatnie dni Pompei”, a Rex Ingram ma zamiar rozpocząć niedługo gigantyczny film p. t. „Mare nostrum”. Akcja rozgrywać się będzie we wszystkich krajach śródziemnomorskich.

— Nowy film Maksa Lindera p. t. „Domp-teur d’amour” jest jednym z najweselejszych i najwytworniejszych dzieł tego kulturalnego komika. Obecnie Maks Linder przygotował scenariusz nowej komedji i przystępuje do jej zrealizowania.



Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

Wobec licznych zapytań, skierowanych do mnie przez pacjentki w kwestji, jak należy pielęgnować skórę, aby utrzymać zdrową i piękną cerę, pozwolę sobie służyć Szanownym Czytelnikom pewnymi wskaz. wami, dotyczącymi się obecnej pory roku.

Na wstępie zapewnić mogę Szanowne Czytelniczki, że dzięki ciągłym postępom w leczniczej kosmetyce można stworzyć piękną i zdrową skórę, o ile sama natura poskąpiła jej zalet przyrodzonych, następnie zabezpieczyć ją od zniszczenia właściwą higieną, odpowiednio do każdej skóry przystosowaną, a wreszcie podnieść piękno cery na gruncie czysto leczniczym przez używanie dobrych i nieszkodliwych środków.

Wspominałam już w poprzednich artykułach, że suchość i grubość naskórka może być wywołana sztucznie, czy to przez używanie mydeł, zawierających części alkaliczne, czy też wody wapiennej, żelazistej, często przez zmywanie twarzy płynami z zawartością spirytusu, wody kolońskiej i t. p., oraz stosowanie kremów na glicerynie. Skóra taka, pozbawiona naturalnej i koniecznej wilgoci, szybko się niszczy i starzeje, żółknie i pokrywa drobną siecią zmarszczek przedwczesnych.

Dr. Libreich przy pomocy analizy wydestal ze skóry ludzkiej produkt podobny do wosku pszczelego i stwierdził, że wosk ten nadaje cerze piękno, gładkość, świeżość i przezroczystość, zatem brak wosku lub też tylko ubytek sprawia, że naskórek robi się szary, ziemisty i zwiędły.

Z całą pewnością stwierdzić mogę, że ten zanik wosku daje się przywrócić za sprawą doskonałych kremów, z zawartością chemiczną wosku, po dłuższym stosowaniu ich powraca świeżość i blask skóry.

W porze zimowej zwłaszcza i wczesną wiosną, kiedy zmiany temperatury są częste, kiedy wiatr ostry i zimno wysuszają bardziej naskórek, należy używać kremów w większej ilości; o używaniu ich decydować winny osoby kompetentne, z kosmetyką obznajmione, nie tak bowiem nie niszczy cery, jak złe środki kosmetyczne. Wielokrotnie już pisałam w kwestji pudrów, powtórzę jeszcze, że pudry z domieszką metaliczną, ołowiu, bizmutu i t. d. są zgubą dla cery, najczęściej czynią skórę porowatą, ciemną, z odcieniem fioletowym, zwłaszcza w świetle dziennym. Nigdy zatem nie powinno się używać na stałe pudru bez poprzedniej analizy chemicznej, lub też bez polecenia osób, zasługujących na zaufanie.

Oczywiście, najlepszym kosmetykiem jest zdrowie. Cery bez wad prawie niema i aby osiągnąć pożądaną rezultat doskonałości i piękna, zawczasu powinno się usunąć niedobory skóry i przywracać cerze jej normalny wygląd. Stosowanie bowiem środków kosmetycznych na chore cery szkodzi jeszcze bardziej i zamiast podnieść wygląd daje rezultaty ujemne, uwydatniając to, co jest brzydkiego w twarzy. Zdrową skórę można upiększać, chorą nigdy, najpierw powinno się ją leczyć.

D-rowsa Jadwiga Sadowska.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

„J. FRANASZEK”

WARSZAWA

Istnieje od roku 1829

ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 15. Telefon 1-72

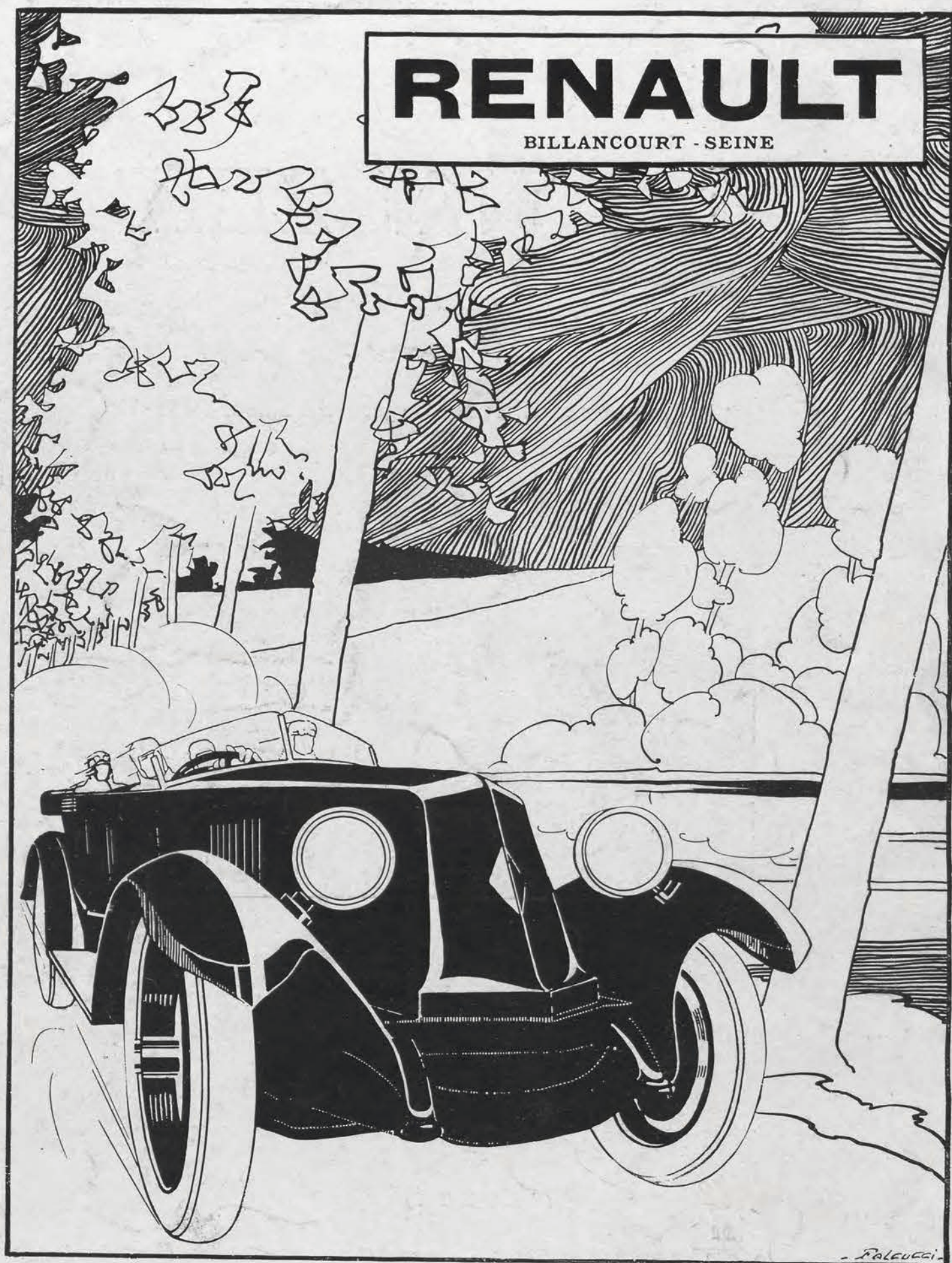


Ogólny widok fabryki

O B I C I A P A P I E R O W E

(TAPETY)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO NAJWYTWORNIEJSZYCH



WYKWINTNIE, SZYBKościĄ, TANIOSCIĄ BIERZE REKORD ŚWIATA
Przedstawiciel Inż. A. MAKOWSKI, Warszawa, Fredry 4, tel. 210-62